8 STRON CENA: 6 PENSÓW

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — POLISH WEEKLY — PRICE SIXPENCE (in U.S.A. and Canada 5c.)

Wychodzi co tydzień Dnia 5-12 kwietnia 1947 r Rok IX. Nr. 13-14

ODWAGA NADZIEI

★ ★ ★

WIELKANOC, WIELKA ROCZNICA CHRZEŚCIJAŃSTWA, JEST ROCZNICĄ ZARAZEM BOLESNĄ I RADOSNĄ: UPAMIĘTNIA ZMARTWYCHWSTANIE I TRIUMF CHRYSTUSA, LECZ POPRZEDZONY MĘKĄ I UKRZYŻOWANIEM.

DLA NAS I NASZYCH BLISKICH — WCIĄŻ OD NAS Z DALA, DLA CAŁEGO NARODU POLSKIEGO WCIĄŻ JESZCZE TRWA — WIELKA SOBOTA. NIE JEST WIĘC DZISIAJ NA CZASIE ŻYCZYĆ: WESOŁYCH ŚWIĄT.

PÓKI NAM W POLSCE NIE NASTANIE RADOSNA NIEDZIELA — ŚLEMY WSZYSTKIM SERDECZNE ŻYCZENIA — NADZIEI I WIARY W ZMARTWYCHWSTANIE.

REDAKCJA „POLSKI WALCZĄCEJ"

★ ★ ★

ŚWIĘTO, z którym od wieków chrześcijańska ludzkość zwykła wiązać nadzieje zwycięstwa miłości nad nienawiścią, ducha nad przemocą, dobra nad złem — przypada w tym roku w chwili, gdy przed narodem polskim po ciężkich doświadczeniach znów ukazało się światło lepszej przyszłości, bardzo jeszcze dalekie, lecz tym razem chyba nie zwodnicze. Mamy na myśli czynne zainteresowanie się Ameryki Europą.

Przyszło ono tuż po okresie potężnego wstrząsu, którym dla Kraju były wybory styczniowe. To, co dla nas na emigracji stanowiło wynik z góry przewidywany ze stuprocentową pewnością, dla społeczeństwa polskiego zza tamtej strony żelaznej kurtyny od przeszło półtora roku było przedmiotem ostatniej niemal nadziei.

W gorzkim rozczarowaniu, które przeżywał Kraj po Powstaniu Warszawskim, gdy stało się rzeczą jasną, że upadek okupanta niemieckiego rozpoczyna nie okres wyglądanej wolności, lecz nowych cierpień i nowej walki w zmienionych formach — trzeba było znaleźć jakiś punkt oparcia dla myśli i uczuć, jakąś drogę wyjścia z zasadzki, drogę, chroniącą przed ostateczną rozpaczą. Tą ostatnią nadzieją — brzmi to dla nas dzisiaj z patosem tragicznej śmieszności — stały się dla wielu jawna walka polityczna i właśnie wybory.

Poparcie, którego społeczeństwo nie szczędziło Polskiemu Stronnictwu Ludowemu, nie stanowiło bynajmniej aprobaty programu tego stronnictwa, ani uznania dla osoby samego Mikołajczyka, jako niedawnego premiera rządu niepodległego. W oczach patriotycznej większości społeczeństwa Polskie Stronnictwo Ludowe było jedynym ugrupowaniem, którego plan polityczny wyrzekał się zarówno beznadziei walki zbrojnej z nowym okupantem, jak i ślepej uległości względem nakazów Moskwy. Widziało w nim społeczeństwo ostatnią szansę kompromisu pomiędzy naszymi dążeniami niepodległościowymi, z których nie zamierzało rezygnować, a imperialistycznymi interesami Rosji. Wierzyło, że w obecnej epoce dziejowej Moskwa będzie wolała uszanować wolę większości narodu polskiego i oprzeć swe wpływy na patriotycznych, lecz umiarkowanych masach, niż budować je na dyktaturze znikomej mniejszości, podstępie i terrorze.

Było to złudzenie, tragiczne złudzenie, które musiało się skończyć w dniu 19 stycznia 1947 roku.

Utrata złudzeń jest zawsze ciężkim ciosem. Nic dziwnego, że społeczeństwo polskie w Kraju przeżywało w okresie wyborów głęboki kryzys. Nie każdy jednak kryzys jest oznaką zbliżającej się śmierci. Są kryzysy, po których przychodzi wyzdrowienie.

Mamy to przekonanie, że wstrząs wyborczy stanie się dla wartościowej części społeczeństwa polskiego, gdy przyjdzie ono nieco do siebie, potężną lekcją trzeźwości politycznej i początkiem zjednoczenia wszystkich sił, które do niepodległości dążyły nie różnymi — w tym nie byłoby nieszczęścia — lecz r o z b i e ż n y m i drogami.

To wszystko bowiem, co dzieje się ostatnio w Polsce jest banalnym, niemal prostackim w swej oczywistości potwierdzeniem poglądu, że nie może być żadnego kompromisu pomiędzy naszymi dążeniami niepodległościowymi a imperializmem rosyjskim. W świecie, rządzonym przez Rosję, nie ma miejsca dla niepodległości to jest dla wolności narodów, tak jak nie ma go dla demokracji to jest dla wolności jednostek. Moskwie można ulec, lub z nią walczyć. Trzeciej drog nie ma.

Dla nas, którzyśmy oddawna wybrali drogę walki z Rosją, jest aż nadto jasne, że dopóki Związku Sowieckiego nie odepchnie się z powrotem z nad Łaby w kierunku Dniepru, dopóty wszelka myśl o wolności Europy Środkowo-Wschodniej jest pustym dźwiękiem. Usadowienie się na stałe władzy rosyjskiej na tym obszarze byłoby końcem naszych marzeń na kilka przynajmniej pokoleń, jeśli nie na całe wieki. Jest to prawda brutalna może, ale jedyna. Złudzenia pozostawmy dzieciom, głupcom i dzikusom.

Nie podżegamy nikogo w ten sposób do wojny. Trzeba skończyć z przesądem, że w świecie dzisiejszym wszystkie konflikty muszą się kończyć nieuchronnie na polach walki atomowej. Obecna niewątpliwa słabość Rosji, maskowana tupetem jej dyplomacji i dywersyjną ruchliwością, pozwala na pokojowe spętanie jej imperializmu, pod warunkiem, że wola położenia mu kresu będzie trwała i stanowcza, a myśl jasna i nie połowiczna. D z i s i a j nie jest jeszcze za późno. J u t r o — pozostać może tylko nieunikniony kataklizm. W teraźniejszym bowiem układzie stosunków nie ma miejsca na rozwiązania połowiczne. Nie ma miejsca na konflikty lokalne. Pokój światowy zagrożony jest w każdej chwili i w każdym miejscu. Mimo pozornej bowiem różnolitości zagadnień i piętrzącej się plątaniny trudności — świat wchodzi w okres jedności politycznej.

Dla nas Polaków pierwszą nadzieją jest otrzeźwienie świata i wyprowadzenie go z lunatycznego gmachu złudzeń, pracowicie niegdyś wzniesionego przez pp. Roosevelta i Churchilla przy pobłażliwym uśmiechu Stalina. Ostatnie wydarzenia zdają się wskazywać na to, że proces trzeźwienia w najpotężniejszym mocarstwie świata — Stanach Zjednoczonych — jest już bliski końca. I to jest owo światło, dalekie jeszcze lecz wyraźne, o którym wspomnieliśmy na początku.

Jakiż z tego płynie wniosek dla nas na emigracji? Zamyka się on w jednym zdaniu: t r w a ć, t r w a ć m i m o w s z y s t k i e p r z e c i w n o ś c i. To słowo, które było dotychczas rzeczywistością tylko w Kraju, a na emigracji co najwyżej cierpiętniczym hasłem, rozgrzeszającym bardzo wygodne bytowanie, może zawitać do nas któregoś dnia naprawdę. Gdzieś w głębiach kopalń, czy w halach fabrycznych staniemy z nim niebawem oko w oko.

Od wygrania tego s a m n a s a m zależy nasza wartość dla sprawy polskiej. Aby je wygrać — trzeba mieć nadzieję zwycięstwa. Trzeba mieć rzecz największą w nieszczęściach: cierpką, lecz niezłomną o d w a g ę n a d z i e i.

ANDRZEJ POMIAN-DOWMUNTT

rysował ZDZISŁAW BORYSOWICZ



Medytacje na Wielki Tydzień

NIEDZIELA PALMOWA

Mam w dłoniach kwietne palmy
a w sercach krzyk: — Hosanna!
(Świt prześpiewuje psalmy,
zórz blask lśni na dziewannach.)

Palmy się w śpiewy kłonią,
kwiat-psalm na wargach kwitnie —
(Dzień przyszedł w dzwony dzwonić
i w radość się błękitnić.)

Hosanna w wysokościach,
Syn idzie Dawidowy —
(Czas w niebo drogi prości
Bogiem i Bożym słowem.)

WIELKI CZWARTEK

Otom zgromadził wszystkich
wieczorną tą godziną —
(Jak chleb wonieje żytni,
jak krwią się krwawi wino!)

Bierzcie i jedzcie społem —
wnet pójdę. — Jużem gotów.
(Czy śmierć to tam za stołem
urąga dniom żywotów?)

Bierzcie i wszyscy pijcie —
godzina ma się zbliża —
(Czyj się po ścianach, czyj cień
podnosi z ziemi? — Krzyża?)

Uczniowie moi mili —
nie może być inaczej...
(Wieczór się w noc swą chyli,
by rość w dni swych przeznaczeń.)

WIELKI PIĄTEK

Pić trzeba mi ten kielich,
niech wola Twa się stanie, —
(Kto woła: „Eli, Eli,
o Lamma Sabahtani" — ?)

Myśl moja myśli Boga
zawsze się kornie nagnie, —
(Po jakich krąży drogach
krzyk wszystkich wieków:
„Pragnę" — ?)

Poruczam Ojcu swemu,
co prawo Jego chciało. —
(Czy światu ginącemu
dość, że się „Wykonało" — ?)

WIELKANOC

Świt pęka w pychę słońca
i dzwoni w dzwon śpiżowy. —
(Kto w wieków mrok postrąca
ten kamień z drzwi grobowych?)

Dzień w blaskach się kryształi,
gra w struny złotej zorzy. —
(Kto kamień ten odwali
i grobu drzwi otworzy?)

Nadzieja kwitnie w kwiatach,
dzień w radość się poszerza. —
(Bóg wyrzekł swe: „Efata!",
Bóg rozwarł grób na ścieżaj!)

Gra triumf na świat wszystek,
tą harfą brzmi eolską. —
(Czy Tyś to powstał, Chryste?
Czy Ty powstałaś — Polsko?)

Tak dzień wiosnami krzyczy!
Tak Wolność pachnie w pieśni!
(Już chyba Bóg łzy zliczył
i wyrzekł słowo: „Wskrześnij" !—?)

ADOLF FIERLA

POWSTAŃCY! POWSTAŃCY!

Kraków mego dzieciństwa jest czerwony i złoty. Pochody, jubileusze, pogrzeby, rocznice, śluby magnackie, procesje, wszystko to wyglądało, jak obraz namalowany przez Matejkę, więc pełen purpury, a oprawny w sute ramy ze złota. Wielu innych barw dostarczały Krakowowi wsie podmiejskie, przede wszystkim Bronowice, które miały parafię u samej Panny Marii. Tam ciągnęły wesela krakowskie od strony Bramy Floriańskiej, hukając, paląc z batów, rozśpiewane, strojne we wszystkie możliwe kolory, we wstążki, w pawie pióra.

Lecz w Krakowie mego dzieciństwa jest jeszcze pewien odcień, dyskretny, cichy, szary, tak jakby Grottger łączył się z Matejką. Idę przez Planty, więc przez ten drugi, po Rynku, salon Krakowa, a matka albo babka nachylają się do mnie, mówiąc: — „Widzisz, ten pan bez nogi to powstaniec! A ten drugi, który idzie z nim razem, to malarz, Benedyktowicz! Stracił w powstaniu obie ręce po łokieć! Przywiązują mu do kikuta pędzel... O, a teraz wita się z nimi rektor Tarnowski! On także był w powstaniu a jego brat zginął..."

Pamiętam to, doskonale pamiętam. I pamiętam, że ci powstańcy mieli swój dom przy ul. Biskupiej, tuż koło klasztoru Wizytek. I pamiętam, że później, z biegiem lat, przeważnie wszyscy chodzili w jednakowych kapotach czy czamarach-mundurach barwy ciemnoniebieskiej. I pamiętam, że w Wielką Sobotę ci powstańcy szli na resurekcję do katedry. Stały tam tłumy ogromne pod Wawelem czekając, aż odezwie się „Zygmunt". Krakowiacy nigdy nie mają dość tego dzwonu i słuchają go zawsze jak gdyby po raz pierwszy w życiu.

Więc stoję, dziecko jeszcze, pod Wawelem od strony Plant. I wśród ogromnego tłumu odzywa się nagle cichym szeptem słowo: — „Powstańcy! Powstańcy!" Tłum faluje, powtarzając to słowo. Wszyscy zdejmują kapelusze z głowy. Gdzieniegdzie słychać, jak matka strofuje dzieci, mówiąc: — „Zdymcie czopki! Nie widzicie, że idom?!"

Rzeczywiście, idą, idą czwórkami, trzymając się prosto, jak się tylko da, najbardziej prosto. Szept: — „Powstańcy! Powstańcy!" rośnie, faluje pośród tłumu, który rozstąpiwszy się, robi szpaler. O, padł jakiś kwiat! I drugi! I dziesiąty! I setny! Ale oni idą jak wojsko. Nie schyli się żaden z nich po kwiat. Więc ktoś, pani jakaś, przybiega i szybko, starając się nie zepsuć rytmu kroków tego oddziału, przypina do ciemnobłękitnej czamary kwiat. Uśmiechnął się ten staruszek. Zasalutował.

Zwolnili trochę, pnąc się pod stromą górę. Już niemal dosięgają bramy a jeszcze ich widać, jak idą przez szpaler. I stamtąd, z wysoka, dolatuje znowu słowo: — „Powstańcy! Powstańcy!" I tam także wszyscy zdejmują kapelusze z głowy. O, teraz jakaś matka, stojąca koło mnie mówi do dziecka:



rysował ZDZISŁAW BORYSOWICZ

— „Wdzij czopke! Zimno! Już weszli!"

Stoimy przed Wawelem, już w kapeluszach. Trzeba je będzie zdjąć za chwilę, gdy zadzwoni „Zygmunt". Wkrótce zadzwoni. To sprawa najwyżej pół godziny. Ale nas wszystkich ogarnia jakaś niecierpliwość. Dlaczego jeszcze nie dzwoni? Wszyscy patrzą na zegarki. Nad nami jest wieża. Ktoś dostrzegł, że serce zakołysało się lekko. Pst! Pst! Cicho!

Już dzwoni! Już się przelewa przez miasto! Już je zatapia w złocie! Raaaaz — dwaaa! Raaaz — dwaaa! Już matka żadna nie przypomina dziecku, że trzeba zdjąć czapkę z głowy. To się rozumie samo przez się. „Zygmunt" dzwoni!

I w tym dzwonieniu rozgłośnym i gorącym, rozmodlonym i groźnym, cichym a grzmiącym, oni pierwsi wychodzą z katedry. Już widać ich. Kroczą powoli w rytm uderzeń dzwonu. Rozstępują się ludzie, i na chwilę, na chwilę króciutką, oni, ci powstańcy, są ważniejsi niż wszystko inne, ważniejsi nawet niż sam „Zygmunt". Słuch ustępuje miejsca wzrokowi. Oni są pierwsi. Pierwsi dla całego miasta.

Wiadomo, szynki i kiełbasy posłał im na Biskupią Satalecki, Bialik, Kurkiewicz, a wino, któżby inny, jeśli nie Hawełka, no i Grosse. Miód Wójcikiewicz. Ciasta Michalik, Maurizio, Piasecki. Freegowa posłała kwiaty. Poświęcił to wszystko ksiądz biskup-sufragan Bandurski.

Nie pójdą na piechotę do domu. Taki kawał drogi z Wawelu na Biskupią! Ktoś zaprosił kilku do dorożki a zatrzymała się druga i „fiakier" samorzutnie proponuje: — „Niech panowie siadają! Ja właśnie w tamtą stronę, na Krowodrzę, do domu, więc... Bardzo proszę, niech panowie zrobią mi tę grzeczność!" I już tego dorożkarza naśladuje drugi, trzeci, czwarty. No, a niechby kto ośmielił się płacić im za ten kurs!

„Krakowski jestem fiakier,
Z krakowską fantazyją!
Czapeczkę mam na bakier
I długą ferezyją!"

— śpiewał o nich kuplet w „Królowej Przedmieścia" Krumłowskiego. Więc już ci powstańcy jadą. Przez Grodzką, przez Rynek, przez Sławkowską, potem skręcają na lewo, koło Plant, by wjechać w Krowoderską a stamtąd tylko parę kroków i już Biskupia. Jadą a z nimi razem biegnie szept „Powstańcy! Powstańcy!"

Mniej ich z roku na rok. Gdy byłem dzieckiem, sporo ich przewijało się przez Kraków. Potem liczba zmalała może do dwudziestu, którzy przeżyli chyba najpiękniejszy moment: pewnego słonecznego dnia, było to 31-go października 1918 r., nie zapomnę tego dnia do śmierci! — Kraków nagle, błyskawicznie szybko, zrzucił na bruk, w błocie podeptał wszystkie orły austriackie, strącił z murów szyldy czarno-żółte a oficerom austriackim czapki z głów.

I równie szybko, w jednej sekundzie, Kraków stał się biało-czerwony. Chorągwie tryskały z dachów, z okien, z wież, eksplodując jak race. O, na „Baranach" już jest! O, teraz zapaliła się na Pałacu Spiskim! I na Krzysztoforach! O, widzicie! Na Szarej Kamienicy! Pod Jagnięciem! U Fisherów! Na Sukiennicach! Cały Rynek! Cała Grodzka, Bracka, Wiślna, św. Anny, Szewska, Szczepańska, Sławkowska, św. Jana, Floriańska, Mikołajska... Ale... Ale dlaczego jeszcze jej nie ma na Ratuszu? Tam powinna być najpierw! Przecie Austriacy już zwiali z Ratusza! Dwunasta dochodzi! A o dwunastej będzie zaciągnięcie warty na odwachu! Polskiej warty! Tam już wszystko gotowe, pod odwachem! A chorągwi nie ma! Dlaczego?! Dlaczego?! Cóż, do diabła! Na co czekają?

Na powstańców. Po prostu na powstańców. Choćby nawet zaciągnięcie warty miało się opóźnić o kilka minut, trzeba czekać. Oni muszą być przy tym! Przecie to jasne jak słońce, jasne jak dzień, jak pierwszy dzień niepodległości. Muszą być przy tym! Jakżeby można bez nich? Zresztą oni jadą już, są koło św Marka, czy nawet bliżej Rynku, bo pod Hotelem Saskim... O, teraz widać ich, u wylotu Sławkowskiej!

Tak, widać ich. Zniecierpliwienie nagle opada i tłum zastygł. Pojawia się na wargach słowo: — „Powstańcy!" Nie spóźnią się. Będą na czas. Już wysiadają z dorożek. O, tam, koło kamienia Kościuszki. Tak, tak! Idą, idą! Mało ich, ale idą. Starzy już, bardzo starzy, ale idą prędko, w rytmie, w ciszy takiej, że słychać tylko ich kroki. Jednego z nich trzeba prowadzić. Staruszek siwiuteńki. Trzyma się, ach, jak się trzyma! Jak chce się trzymać! On musi być w tej chwili prosty, prosty jak świeca!

Stanęli na miejscu dla nich wyznaczonym. I dopiero, dopiero wtedy, wybiła dwunasta na Pannie Marii, czekając jakby ich przybycia. Jakże cicho jest! I jak dobrze! Jak szczęśliwie! Lepiej być nie może! I słońce świeci! I teraz padają słowa komendy. I odwach na ratuszu, przed chwilą jeszcze austriacki, już jest polski. I nad żelazną balustradą zakwitnął sztandar biało-czerwony.

Na to, na ten moment wyczekiwał hejnał. Wystrzelił w niebo, rozzłocił się melodią, w wieńcu gołębi, które przyleciały teraz z pod Panny Marii i kołują nad Ratuszem. Słychać tylko hejnał i trzepot skrzydeł. Ale wszystko milknie nagle, bo oto zdaleka, z pod Wawelu, płynie „Zygmunt", rozlewa się po rynku, uderza o ściany domów starych, o Sukiennice, o Pannę Marię, o św. Wojciecha. Znają wszyscy w tłumie ten głos, ale dzisiaj jest on inny, tysiąc razy piękniejszy, niewypowiedzianie szczęśliwy, dobry, i — po raz pierwszy chyba — roześmiany.

A oni, ci powstańcy, trzymają się prosto. Jak żołnierze. Czekali — ach, ileż to lat? Czterdzieści pięć! Okropny kawał czasu. I doczekali się. Drżą im wargi, po policzkach płyną łzy, kapią srebrne, nieutulone, ale pogodne, radosne.

Łzy szczęśliwe. Łzy Resurekcji.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

PRZED ZMARTWYCHWSTANIEM

Dałbym ci, dał, gdybym tak miał,
z mgławicy tej — fujawicy —
nie tylko strzępek poblakłych chwał,
lecz wolę hardszą, twardszą od skał,
i ostre szpony orlicy.

I rozwiew dał, abyś się chwiał
skrzydłami ponad polami
i byś radosność orłową znał
i runął w przyziem pełznących ciał,
gdy słońce będzie nad nami.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

WESOŁEGO JAJKA!

Święta Wielkiej nocy to święta młodości, radości, wiosny, zwycięstwa i nagłych boleści żołądkowych. Rozdzwonione dzwonami, tryskające zielenią i śmiechem trafiają prościutko do serca, bo idą przez żołądek. Kantorbery Tymowski tako wyśpiewywał przed stu laty w swej „Odzie do brzucha": „Kiedy poecie żołądek się ścieśni, stygnie w nim zapał, przerywa swe pieśni i z uniesieniem za kawał pieczeni dramę zamieni". Oto poezja bez poetyckiej przesady, oto prawda absolutna. (Podobno w Norwegii pokazują restaurację, w której Hamsun tworzył swój „Głód".)

Zmieniają się czasy (z podłych na podlejsze), zmieniają się ludzie (z kapitalistów na komunistów), wojny wybuchają i gasną, ale tradycja — ten most linowy pomiędzy pokoleniami — żyje wiecznie młoda i zalotna jak miłość, jak wiosna, jak biały walczyk. Z tego kraju, gdzie jedzenie odarto z poezji, gdzie nie celebruje się jedzenia, gdzie to boskie misterium zdegradowano do zwykłej czynności fizjologicznej, w dniu świątecznym myśl wzruszona trzepoce do staropolskiego stołu uginającego się pod najserdeczniejszym balastem, pod balastem białej polskiej kiełbasy i apetycznie na różowo spoconej szynki.

Grabowski w swych „Gawędach o Wielkiej Brytanii" trafnie zauważa, że Anglicy, choć fizycznie duszą się w czterech ścianach wielkiego miasta, moralnie czują się nadal mieszkańcami wsi, tam są ich serca, tam leży ich prawdziwa ojczyzna. Stąd w najciaśniejszym zaułku, w najciemniejszym zakątku wielkomiejskiej nędzy, choćby między śmietnikiem a murkiem uprawiają sobie pęk rachitycznego zielska, parodię ogródka. Jest to ich hołd dla opuszczonego *country*.

Podobnie i my, chociaż fale losu (celowo piszę „fale", a nie bałwany, bo ludzie zrobili się ostatnio tacy wrażliwi), chociaż nas fale losu zagnały do blaszanych antałków goryczy i innych drewnianych bud na buddyjską kontemplację, choć głodno, chłodno i do domu daleko, postanawiamy sobie w tym dniu uroczystym złożyć hołd tradycji i — zjeść całotygodniową rację za jednym zamachem. Alleluja, dla was kochane przodki, staropolskie obżartuchy, na waszą cześć Radziwiłły-Panie Kochanku, Zagłoby, Sapiehy, pijaczyny boże, miodopijcy koronni!

Ale dyngusu poniechamy, dyngus trwał całą zimę, lało się z dachu, lało się przez komin do pieca, lało się, jak na tonącym „Titanicu". Uczta nie będzie huczna, zastawa nie srebrna, lecz aluminiowa, jajka nie malowane, lecz niecnie sproszkowane, a baby złociste w keksy pozmieniane (może i nawet w te obrzydliwe z cebulą i kminkiem, bo i tymi ta ziemia słynie), ino te same błyszczące oczy, ino te same niemodne wąsy i ta sama serdeczność przy jedzeniu. Dawne to były czasy, bodaj przedpotopowe, kiedy dziady wioskowe, włóczykije odpustowe wyśpiewywały przez nos pod rozwielkanocnione niebo:

„Na półmisku świński ryj,
jajco w zębach, jeno żryj —
w ręku dyndała kiełbasa,
człek popuścić musi pasa,
o jerum, jerum, leluja.
Baby całe lukrowane,
rodzynkami nabijane,
w środku migdał najsłodziejszy,
Panie Jezu Najmilejszy. —
o jerum, jerum, leluja".

Zamiast tej naszej kiełbasy, wcinanej dawniej przez byle dziada, a kształtnej a toczonej jako to ramię dziewczęce, otwórzmy, bracia-beczkosiady, obozowi puszkarze i puszkiny, nową puszkę z sosiskami! Wyjmij tam który kordelasem trochę tej szarej masy, najedzmy się tego szarego mydła, niech nam po kieliszku piwa bańki mydlane popłyną z roześmianej (od nadmiaru żałości) gęby! Alleluja!

Jan Kochanowski, najaktualniejszy poeta polski, bo tak chętnie śpiewał o l i p i e, mówi: „Serce rośnie, patrząc na te czasy". I on w swym Czarnolesiu, wszystko z góry przewidział i o wszystkim wiedział już przed wielu laty, m.i. przeczuwał brak wódeczności na tej wyspie, kiedy w swej proroczej strofie tak się wyraził o Drugim Korpusie:

„temu wina nie trzeba przylewać,
ani grać na lutni, ani śpiewać:
będzie wesół, byś chciał, i o wodzie,
bo się czuje prawie na swobodzie".

Swoboda, cóż za wielkanocne słowo! (Niedawno doniosły gazety, że jest i w Kraju. Swoboda w Kraju? A jakże: tak się nazywa czechosłowacki minister wojny bawiący w stolicy.) „Serce rośnie, patrząc na te czasy", na czasy „prawie swobody", zaprawdę, gdyby nie ta szczypta humoru, nieraz wisielczego, humoru, o którym mówią, że jest „kołem ratunkowym na falach życia", że jest „podświadomym buntem człowieka przeciw śmierci", najpiękniejsza Wielkanoc w Beczkowicach Dolnych czy w Barakowie Górnym byłaby tylko nocą.

Ale humor to wierny aliant, on nas nigdy nie opuści! Beczki to „przykrość w ta pora" — jak mówią Wilniuki. („Że zamknięty w beczce niewygodnie siedział — żałowali żołnierza, on im odpowiedział: „miej ty sobie pałace, ja mój dom kaleki, prawda, że bez wygody, lecz i bez — Bezpieki".) W jednym z obozów, gdzie brać oddawna nie cierpi na przejedzenie, ktoś wywiesił kartkę: „Zginął kot tresowany. Wabi się „Pekapercio". O zwrot proszą wszyscy mieszkańcy z pod „ósemki". Kot służył do przynoszenia prowiantu w pysku dla całego baraku." W jednej z gazetek obozowych jakiś poczciwiec dał znów takie ogłoszenie: „Kto z chętnych kolegów, wyjeżdżających do Kraju w stronę Radomia zechciałby za dobrą zapłatą zabrać dla mojej teściowej piecyk kaflowy z rurą?"



Są i inne powody do wesołości. W obozach „dla rodzin" wybiera się samorząd, są wybory pięcioprzymiotnikowe, a jakże, agitacje, intryżki, kulisy, walki klas i baraków, ale kiedy zbierze się „rada miejska" do kupy, rajcy poruszają wszystkie bolączki, od bomby atomowej poprzez rzekomą sodę w jedzeniu aż do wydawania bezpłatnego przyodziewku. Pewien patriotyczny rajca już się wsławił jako parlamentarzysta. Złożył on interpelację w sprawie granic na Bugu pod adresem obecnego na sali... *sergeanta* brytyjskiego, inny zaś zapytał: „jakim prawem na marynarce otrzymanej w podarku z Ameryki widnieje etykietka: „Ubraniopol-Pabianice"?" Podarowanemu koniowi nie zagląda się w zęby (dlatego też dla zachowania sobie prawa swobodnej krytyki nigdy nie jadam bezpłatnych befsztyków w jednej z polskich jadłodajni w Londynie), ale wydaje się, że wszyscy kochani filantropi po tamtej stronie Oceanu umówili się, aby przysyłać do Europy fraki, tużurki i długie, czarne, z tyłu rozcięte surduty z epoki Abrahama Lincolna. Surduty te posiadają m.i. tę zaletę, że w okresie mrozów można sobie nimi obwijać nogi na noc.

Żart na stronę, samorząd w obozach to bardzo mądry pomysł, jeśli tylko rajcy korzystając z nietykalności poselskiej nie uchwalą w przystępie goryczy przyłączenia Wielkiej Brytanii do swego obozu; nie tylko odciążą władze wojskowe, które z 500 cywilami mają większy kłopot niż z całym plutonem regularnego wojska, ale może na przyszły rok wymyślą jakieś porządniejsze i wilgotniejsze święta. Nie ma co ukrywać: od czasu, gdy nikczemni cywile wykryli bombę atomową, wojsko im nie dowierza. Nigdy nie wiadomo, co w takich niedołęgach z kategorią D drzemie, może jakiś uran czy inna wojna bakteriologiczna? Obecnie samorząd te sprawy wyjaśni.

Nie wszyscy mogą grać w beczkach w ping-ponga, brak jest piłeczek. Ale są zajęcia bardziej emocjonujące. Na przykład: „sądy obywatelskie" czy „honorowe". Prawnik z dyplomem zawsze się znajdzie („jest tyle sił w narodzie"). A gdzie jest już raz wybrany sąd z zatwierdzonym regulaminem, tam i o sprawę nie trudno. Aczkolwiek Sarmaci odznaczają się wrodzoną niechęcią do wszelakiego pieniactwa, sądy nie próżują, gdyż obozy są koedukacyjne (*cherchez la femme*), a ciasność beczek wpływa na usubtelnienie konstytucji nerwowej „każdego jednego".

Niektórzy z naszych już się całkiem dobrze urządzili. W pewnym obozie pewien pan już się z Angielką ożenił. To nie byłoby jeszcze takie dziwne. Ale ojciec tej małej ma przedsiębiorstwo pogrzebowe i nasz rodak ku uciesze całego obozu i przy owacjach małych dzieci co dzień przejeżdża koło beczek zmotoryzowanym karawanem do „pracy". Anglicy w okolicy stawiają go wszystkim za wzór, taki jest chętny i gorliwy. Raz to nawet zajechał po takiego jednego, który jeszcze żył i był zdrów jak byk. Ale to wszystko przez ten trudny język angielski. Po prostu się przesłyszał.

Trudny język nie tylko w obozach komplikuje życie. Opowiadają, że pewna misja katolicka zaopiekowała się trzema żydowskimi pacholątkami, sierotami ocalałymi z „kacetu". Pewnego dnia starsza zakonnica (*superior sister*) zdenerwowana wezwała malców do siebie:

— To, że wieszacie czapki na posągach świętych — przebaczam. To, że myjecie ręce w święconej wodzie — też wam przebaczam, ale jak mnie jeszcze raz zamiast „*sister superior*" nazwiecie „siostrą Szapiro" — z klasztoru was wypędzę!

W życiu codziennym wystarcza jednak narazie stosowana angielszczyzna tego żołnierza, którzy umawiał się z Angielką do Glasgowa. Najpierw stuknął siebie palcem w pierś i rzekł: „aj goł", potem stuknął ją i rzekł: „ju goł", potem podszedł do autobusu, stuknął w autobus i rzekł: „bas goł", a na zakończenie powiedział: „glasgoł". No i jakoś się dogadali. Ale z kobietą zawsze łatwiej się dogadać. Przynajmniej przed ślubem, potem już gorzej, bo z dogadania robi się dogadywanie.

Ten temat zająłby nam kilka nowych felietonów, a tu już, mościpanowie, nową butelkę piwa niosą do stołu, pożyczmy sobie tedy tradycyjnym zwyczajem „sto lat w polskim wojsku" i westchnijmy cicho: „Serce... rośnie, patrząc na te czasy".

TADEUSZ NOWAKOWSKI

OD MONTE CASSINO DO PIEDIMONTE *)

STRZELEC WYBOROWY

I rzeczywiście od samego świtu poczyna się nawała. Byle jak nocą sklecone bunkry ratuje to, że są one nad naszym skrajem szkarpy. Granat moździerzowy padający za bunkrem leci półtora piętra w dół i nie przynosi szkody. Ale z powodu ognia szpandałów nie można wytknąć głowy. W piechocie jest już pięciu rannych.

Kolo godz. 09.00. Niemcy spostrzegli odwody (ułanów) i przenieśli ogień moździerzowy w dół, ale bunkry trzymają pod grozą strzelców wyborowych. Ludzie w bunkrach drętwieją, nie śmieją wytknąć głowy.

Por. Tymieniecki postanawia coś radzić na te zjadliwe osy**). Każe sobie podać z piechoty karabin z lunetą i wraz z jej dowódcą na miejscu, por. Bachmanem i jeszcze jednym obserwatorem wczołguje się do dobrze zamaskowanego stanowiska w ruinach.

Ppor. Bachman i jeszcze jeden obserwator przez szczelinę w ruinach obserwują teren. Tymieniecki w tym nie bierze udziału — nie ma prawa męczyć wzroku.

Chodzą oka lunet po krajobrazie połupanych ścian, po szarych szutrowiskach, po fragmentach murków półzrujnowanych, krzywych tarasy, po balkonach smętnie zwisających w festonach pogiętych metalowych wiązadeł, po winklach narożnych okien o odbitych pociskami framugach, po pieczarach wybitych pociskami w murach, ziejących czernią, po galeryjkach, na których ongiś suszyła się bielizna, a teraz śmierć siada, po wyłomie baszty, w której siedzi samotrzeć Durlik ze szkieletami, po załomkach ginących w nagłych zakrętach uliczek.

— Jest ! — woła po upływie pół godziny strzelec.

— Gdzie? — pyta Tymieniecki, biorąc lornetę.

— Tam, widzi pan porucznik tę szczelinę w murze odległą o 100 mtr?

Porucznik widzi dokładnie szczelinę ; jest ciemna i nic w niej się nie rusza.

— Przecie tam nic nie ma !

— Panie poruczniku, a teraz niech pan spojrzy.

Istotnie — szczelina błyska światłem.

Karabin — cichutko — oparł się wylotem lufy na gzymsie — nie wystaje ani o piędź. Muszka narychtowała się dwa cale nad podstawą szczeliny.

Oczekiwanie.

W pewnej chwili szczelina znów ciemna.

Spust !

Szczelina — zajaśniała.

(Po zajęciu Piedimonte znaleźliśmy tam trupa z przestrzeloną czaszką.)

Teraz jeden obserwator obserwuje tylko szczelinę, a drugi obserwuje teren.

Po dwudziestu minutach woła :

— Jest !

Tym razem Tymieniecki bez lornetki widzi : różowy domek odległy o 100 metrów : płachta na balkonie ; okno narożne, a w nim — część twarzy z kołnierzem.

Poszedł strzał — Niemiec się więcej nie pokazał (po zajęciu miasta nie można było zweryfikować strzału, bo różowy domek, balkon, płachta, okno narożne — wszystko to było rumowiskiem).

Z tamtej strony też chodzą po nas oczy lunet : prawie bezpośrednio po strzale uderza trzask o kamienny brzeg szczeliny, z której strzelał Tymieniecki ; pyłek i swąd, jakby kto skrzesał krzesiwo.

Trzeba wyczołgiwać się z wykrytego stanowiska do prawoskrzydłowych bunkrów.

Załogi tych bunkrów skarżą się, że są pod stałym obstrzałem broni maszynowej z dalekiej odległości.

Ppor. Tymieniecki lokuje się w dole, w którym już jest tylko miejsce dla obserwatora. Por. Bachman obserwuje z domu.

Teraz lorneta błądzi po dalekim dystansie. Są to rudawe zbocza za Piedimonte, odległe o jakie 1.000 metrów, w krążku lunety przesuwają się małe sektory widzenia : usypiska, kilkanaście oliwek, coś jak zamglona ścieżka...

Luneta uczepiła się tej ścieżki, pnie się nią w górę i znów zjeżdża w dół i znów z powrotem.

Jest ! Najwyraźniej — bunkier sklecony z bali.

Tymieniecki nastawia celownik 1.000 metrów. Strzela świetlnym pociskiem w ambrazurę bunkra.

— Za krótki !...woła obserwator.

— Gdzie upadł ?

— Pod samym oknem.

Poprawka.

— Siedzi !...

— Człowiek !

Tymieniecki chwyta za lornetkę :

Szwab wysunął się, zamachał drwiąco chustką, tak jak się macha na strzelnicy sygnalizując pudło i znikł.

— Lesiak — widziałeś ?

— Widziałem — krzyczy pchor. Lesiak z pobliskiego czołga.

— Granat — tysiąc yardów — schron — ognia !...

Ruch w wieży czołga — strzał.

— Za krótki ! Więcej, dwie podziałki.

— Za długi ! Mniej pół (podziałki).

— W celu !

— Po dwa !

Idą dwa strzały. Rozszedł się dym — kupa rumowiska.

Odpłacili za kpiny.

Na strzelający czołg zlatują się moździerze. I jak za atakującymi wilkami pojawia się krwiożercza Baghera (pantera), tak niezwłocznie napytuje się jedno niemieckie działo ciężkiego kalibru.

Po stronie polskiej — wszystko zaraz znika po dziurach.

*) Fragmenty z III tomu „Bitwy o Monte Cassino", który ukaże się wkrótce. Fragmenty odnoszą się do 23 i 25 maja 1944, w którym ostatecznie opanowaliśmy Piedimonte.

**) Powtarzam z relacji ppor. Tymienieckiego.

OSTATNI JEŃCY

Celowniczego „Morusa" Kossowicza korci sprawdzić, czy nie na próżno wypuścił ostatnie pięć pocisków pepanc, jakie wystrzelono w tej walce o Piedimonte. Dobrawszy towarzysza, poszedł do zwalisk na skarpie. Pełno było po drodze min, ale już się wszyscy kropnęli za Wasiakiem, jak to rozbrajać. Rozbroili kilkadziesiąt sztuk tego, doszli do zwalisk. Zobaczyli deski przywalone usypiskiem — coś jak drzwi. Poczęli odwalać kamienie, ale poniechali, bo takie wejścia nieraz były minowane. Poszli dalej, znaleźli trupa niemieckiego w mundurze spadochroniarza, z maską na twarzy, z granatami za pasem, otoczonego sześciu rurami faustpatronów.

Tymczasem z dołu — począł się ciąg „turystów". Przyjechali filmowcy angielscy (polscy zapewne byli zajęci uwiecznianiem jakiejś dekoracji, przemówienia, czy nabożeństwa).

Korespondenci czepili się Lesiaka, że muszą zrobić „wzięcie jeńców". Brudny, spocony Lesiak, któremu kosmyk włosów spada na czoło, stoi w swoim zaoliwionym kombinezonie i patrzy z zakłopotaniem na gestykulację *cameraman'ów*.

Ale ci nie dają za wygraną. Akurat doszli do tego miejsca, gdzie sterczą deski.

Ktoś im tłumaczy, że to był schron.

Świetnie ; niech Lesiak stanie z tomiganem nad tymi kamieniami i nastawi broń w dół tak, jakby wzywał kogoś do wyjścia.

Koledzy pokpiwują, ale ppor. Tymieniecki woła, że przecie to jest propaganda naszej sprawy.

Lesiak niechętnie staje na kamieniach ; mści się na jakiejś szmacie, która pęta mu się pod nogami — chce ją nogą odrzucić. Ale Anglik wpada w zachwyt : niech się po nią schyli — będzie to wyglądało jak biała płachta, „którą wywiesza załoga bunkra". Zły jak cholera Lesiak pochyla się do tej nieszczęsnej szmaty, pancerniaki nabijają się na całego, kiedy nagle — słychać stłumiony głos z podziemi.

Sceneria się zmienia. Lesiak krzyczy *Hände hoch !* i wycelowuje tomigan.

Tymieniecki przyskakuje do bunkra i zaczyna odwalać głazy. Za nim inni. Robi się ścisk. Oszołomiony, ale nie tracący przytomności filmowiec drze się jak obdzierany ze skóry, by mu nie przesłaniali widoku i już kręci — naprzód.

W jamie ukazuje się — lisia twarz. Jej właściciel wtłoczył na nią uśmiech, jaki mają psie pyski, kiedy pies zawinił i czołga się na czterech łapach, ale merda ogonem markując uciechę. W oczach uśmiechniętego Niemca — obłędna trwoga.

Wyciągnęli tego pierwszego — to Paul Minich — dowódca bunkra.

Za nim jeszcze dwóch.

Nurknęli nasi do bunkra — wyciągają precyzyjną broń małokalibrową, plecaki, wyładowane amunicją, peryskop.

Karabin z lunetą... Pancerni spojrzeli po sobie. I w dół — tam długo schła kałuża krwi ś.p. mjr Tarkowskiego. I na ten nie uprzątnięty jeszcze trup Kołodziejczyka. I Rodzynkiewicz poległ z tej samej ręki...i to ten właśnie „snajper" przestrzelił hełm Kuczuka.

Obejrzeli się na jeńców. Stali wyprostowani na baczność i prosili o wodę. Nie mieli jej od trzech dni. Gdy pierwszy strzał 20 maja zwalił ich schron, zeszli o piętro niżej, mieli tam strzelnicę. Dopiero dziś w nocy i tam ich zwaliło.

To więc tu ta bestia kąśliwa...

Niemcy mówią szybko i dużo. Wyprostowani, wciąż proszą o wodę. Odpowiadają szybko, odpowiadają na wszystko, byle prędzej wody...

— Komendant...tak, to ja — mówi ten pierwszy, niski. Strzelec wyborowy ? To ja — mówi ten wysoki. I znów służbiste pytanie, w którym drży skamlenie :

— Czy można dostać wody ?

Oczy pancernych wpijają się w tego wysokiego spadochroniarza w czapce z daszkiem, z wystającymi zębami.

— Ty... ścierwo — pada ciężkie słowo, napojone tak straszną nienawiścią, że morderca Tarkowskiego i innych zmilkł nagle.

Jest — chwila milczenia tak straszna, że umilkli nawet gadatliwi filmowcy, nie rozumiejący, co się tu dzieje.

— Niech który skoczy po wodę — mówi kpt. Weiss, oficer łącznikowy Korpusu.

MELCHIOR WAŃKOWICZ

RIKSZĄ PRZEZ OKUPOWANĄ WARSZAWĘ *)

W kilka dni po śmierci Poltyna otrzymał Nikodem rozkaz wyjazdu z Warszawy. Powierzył pieczę nad fabryką Romance i mecenasowi, polecając im jednocześnie opiekę nad Barbarką. Mieli się ponadto wystarać o dodatkowy przydział kwasu. Na to kładł główny nacisk.

(Ponieważ mecenas i tak musi zniknąć na jakiś czas z Warszawy, więc niechaj jedzie gdzieś w okolicę Krakowa i stamtąd doskakując na parę godzin dziennie do miasta, niech pilnuje tej sprawy.)

Wczesne lato było tego roku. Dnie są upalne, noce bezchmurne, w śródmieściu duszne, w dzielnicach podmiejskich pełne zapachu bzów i jaśminu.

Rozgłoszono w fabryce i w mieście, że Nikodem czuje się nietęgo ze zdrowiem i wziął urlop. To było prawdopodobne.

Wdział długie buty i stare ubranie sportowe. Pożegnał się z przyjaciółmi — i zniknął.

Ma wrócić za miesiąc.

* * *

Mecenas, postanowiwszy wyjechać i zgolić bródkę, aby tym lepiej wejść w skórę Jana Nowaka (ostatecznie Jan Nowak musi się czymś różnić od Stanisława Małyńskiego) — chciał przy jednym ogniu upiec dwie pieczenie. Barbarka mianowicie dała mu kiedyś do zrozumienia, że wolałaby, gdyby nie nosił zarostu.

Drobiazg. Ale mężczyzni takie rzeczy pamiętają.

Sunie więc teraz — sunie to jest najlepsze określenie, bo przesuwa się bezszelestnie jadąc rikszą — Alejami Ujazdowskimi w stronę miasta. Jest pełen najlepszych nadziei.

Katastrofa Poltyna, inne jeszcze niebezpieczeństwa narastające od strony garbarni i nieznośnie potęgujące się uczucie coraz większego osaczenia, nie zdołały jednak zabić w nim żarłocznej chęci życia.

(Podobnie reagują dziesiątki tysięcy. Warszawa katowana systematycznie od pięciu lat, rozstrzeliwana publicznie na placach i ulicach śródmieścia i przedmieść, w przededniu, jak się wówczas wydawało, nowego przejścia z rąk do rąk przez linię frontu — pracowała, walczyła, ale również żyła, po prostu żyła... To znaczy jadła, odwiedzała kawiarenki, piła na umór w tysiącach restauracji i barów, kochała się, zawierała małżeństwa, przeprowadzała rozwody, żeniła się ponownie po raz drugi i trzeci, kąpała się w Wiśle, jeździła do Świdra, do Międzylesia, do Otwocka, do Leśnej Podkowy, do Miedzeszyna — załatwiała sprawy honorowe. Ba ! — robiła nawet zapisy na pojedynki na po wojnie...)

Gra miłosna, jakiej mecenas oddaje się od wielu lat, nie przyniosła mu co prawda do chwili obecnej szczęścia — jeżeli były nawet w jego rękach zadatki szczęścia, to je z rąk lekkomyślnie wypuścił — ale też nie znudziła mu się jeszcze.

Z trzech pasji młodości : pracy społecznej, zainteresowań artystycznych i zamiłowania do miłostek, pozostała mu obecnie (mecenas liczy czterdzieści) — już tylko ta ostatnia. Rozwinęła się natomiast, w czasie wojny, pasja nowa : pasja robienia pieniędzy. Umie zarabiać pieniądze... W tej dziedzinie, kto wie, może zdystansuje nawet Romankę.

Mecenas, rozparty wygodnie w rikszy roi, że zdystansuje przyjaciela także w tej drugiej dziedzinie.

Robiąc przed czasem bilans, już sumuje dwie pozycje spodziewanych zysków. (Tej lekkomyślnej buchalterii nauczył się, rzecz prosta, także od Romanki.) Barbarkę uważa oddawna za owoc dojrzały. Niebawem — tak myśli — sam upadnie. Nie potrząsa tą gałęzią jedynie z lojalności w stosunka do Nikodema. Nikodem, zdaje się, jest tam nieco zaangażowany. Ale obecnie wyjechał, zresztą jest zawsze tak bezgranicznie zajęty. Ustąpi napewno dobrowolnie z placu.

Teraz przybywa młoda malarka...

— Nieźle... — powiada sam do siebie. — Wcale nieźle... — Dodajmyż jeszcze flircik z Zosią, Danusię... Elżbietkę.

Jest zadowolony.

Gdy mijali B.G.K. i skrzyżowanie Alei Jerozolimskich z Nowym Światem zastanawiał się : — czyby nie wstąpić do fryzjera i odrazu nie zgolić bródki ? Coby też powiedziała Barbarka...

Ale przypomniał sobie niedokończony portret. — Tego nie mogę jej zrobić — pomyślał. (Tym razem myślał o młodej malarce.) — Zgolę brodę pojutrze.

Martwił się chwilę Janem Nowakiem. Ale ostatecznie dlaczegóżby Jan Nowak nie mógł nosić dwa dni bródki... Niebezpieczeństwo czaiło się wszędzie. Jeżeli ma przyjść, to przyjdzie bez względu na brodę. (Ludzie stawali się w tych czasach takimi napół-fatalistami. Ukrywali się, maskowali, zmieniali, mieszkania i nazwiska, ale wszystko to są oczywiście półśrodki. Tę drugą, brakującą połowę, zastępowali właśnie pół-fatalizmem.)

— Dwa dni mnie nie zbawią — pomyślał.

I zdecydowany odwrócił się ku riksiarzowi. Rzucił wesoło :

— Pod Gąskę...

Uśmiech zamarł na jego ustach. To był wyjątkowo stary riksiarz. Z twarzy, która w tej chwili przypominała maskę wykrzywioną bólem, ściekał strumień potu. Pod wilgotnym kołnierzykiem i przylepioną do piersi koszulą czuło się gwałtownie pulsujące arterie. Ta część Nowego Światu — od Alei do Krakowskiego — wznosi się w górę. Nigdy o tym nie pomyślał.

Mijali właśnie Pałac Staszica.

— Stop ! — zawołał nie odwracając się. — Niech pan zajedzie pod pomnik Kopernika i chwilkę poczeka. Ja wrócę parę kroków do księgarni...

Idąc przypomniał sobie rozmowę, jaką miał rok temu z pewnym byłym radcą ministerialnym, pracującym na rikszy. „Warszawa leży na równinie ?..." — mówił były radca z krwawą ironią w głosie. — „Panie ! nikt nie wie, jakie tutaj są góry... Tylko konie i my — riksze". (W międzyczasie radca urządził się. Handluje zmiotkami z warsztatów jubilerskich. Podobno nieźle zarabia.)

Idąc ku księgarni snuje swoje rozważania socjologiczne przed dwudziestu nieomal laty porzucone. Myśli : — Gdyby to ode mnie zależało — zniósłbym riksze. To znaczy... — poprawia się, bo rozumie przecież, że ludzi tych pcha do pracy, tak zdzierającej zdrowie, nie kaprys, ale twarda konieczność gospodarcza — to znaczy... — zastanawia się, nie wie bowiem co należało by zrobić. Bez przekonania snuje dalej swoje rozważania: — Postarałbym się o kredyty... o kredyty...—żeby zmotoryzować riksze... Stop ! To jest nonsens. A więc ?... — skrzywił się. — Cóż bym zrobił ?

Zirytowało go to pytanie, zdawało by się, takie proste, a przecież, jeżeli je tylko uczciwie postawić, nie mające odpowiedzi, jeżeli nie chce się zaraz ruszać niejako z posad całej bryły świata. Bo ostatecznie — nie chodzi t y l k o o riksiarzy... Rzecz sprowadza się do nadmiernego trudu, do pracy ponad stan sił. Do godziwego zarobku... Kto go ma ?

— Ja zarabiam... — pomyślał o mące kartoflanej, o łoju utwardzonym, o rzepaku, o bańkach szklanych na drzewko — czas pewien robił niezłe interesy na ozdobach choinkowych — o czeskiej sztucznej biżuterii —... Zarabiam przeciętnie piętnaście miesięcznie... To nie jest dużo. Ale — ile wynoszą zarobki robotnicze... Ile otrzymują urzędnicy...

Kupił w księgarni książkę pod tytułem „Czarny Ląd" z cyklu „Wielkie Podróże". (Czyżby to była podświadoma forma jego ucieczki ?...) Wracając do riksiarza i widząc, że siedzi on na stopniu gmachu Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, na wprost pomnika największego odkrywcy, z głową zwieszoną nisko między utrudzonymi kolanami — stracił całe zainteresowanie dla podróży w głąb „Czarnego Lądu". Biały niewolnik widząc go zerwał się i dziarsko wlazł na swoje trójkołowe narzędzie udręki.

Przymknął oczy. (Z ust nie schodzi mu skrzywienie na poły bolesne, na poły sceptyczne.)

Gdy ruszyli, nie otwierając oczu, bez słów mamrotał w głębi duszy : — ja bym zrobił... ja bym zrobił... — Ale nie powiedział, coby mianowicie zrobił.

Gdyby był młodszy, układałby w tej chwili prawdopodobnie, jak Pierzgalski-syn, swój „Regulamin Porządku Światowego". W kraju tym bowiem zdolnym do heroizmu w rzeczach wielkich, w rzeczach największych ograniczamy się zwykle do dobrych chęci.

WIESŁAW WOHNOUT

*) *Fragment niedrukowanej powieści p.t. „Noc".*

LONDYN PO RAZ PIERWSZY

Tak, mgła. Żywioł, z którego jest powietrze Anglii. Starogreccy filozofowie rozróżniali cztery elementy w budowie świata, nie znajdując miejsca dla tego piątego żywiołu. Rozciąga się jego potencja między ziemią a wodą. Jak wyspy brytyjskie. Jak człowiek brytyjski. Jak twórczość brytyjska. Jak historia Anglii. W mgłę otulony jest Londyn — „na znak miłości", jak o wstędze Wisły i Krakowie mówi polska piosenka. Nigdzie nie ma w Anglii tyle tej mgły, co właśnie w Londynie. Tuż za rogatkami stolicy błyszczy wszystkimi barwami pogoda, a Londyn spowity jest w swoją mgłę, jak klejnot w futerał. Londyńczycy zapewne nie przypuszczają, jak piękna jest pogoda Anglii.

Anglicy kochają nie tylko swoją ziemię, ale i swoją pogodę. Mówią o niej tyle i tak, jak mówi się o rodzinie, o bliskiej osobie. Kochają też swoją mgłę. Są z niej bardziej dumni, niż Polacy z babiego lata. Mgłę wprzęgli Anglicy w służbę swego narodu. „Pewna mglistość, która charakteryzuje umysłowość angielską, brak wyrazistych konturów, subtelna różnorodność myślenia, wszystko to każe myśleć wnikliwemu obserwatorowi o narodzie angielskim w kategoriach klimatu. I w samej rzeczy klimat Anglii stanowi jeszcze jeden ważny czynnik, wpływający na jej charakter" — pisze autor niedawno wydanej książeczki „Duch dziejów Anglii", A. L. Rowse (po polsku w tłumaczeniu St. Balińskiego). Piśmiennictwo angielskie kąpie się w mgle i mglistości. W malarstwie Turnera, Constable'a, Gainsborough'a, Crowe'a mgła odgrywa tę rolę, co rycerskie strojnictwo u polskiego Matejki.

Mgła jest dla Polaków zjawiskiem posępnym. W litewskim zaścianku w „Panu Tadeuszu" najsmutniejszym dniem jest ów mglisty poranek, w którym „za przykładem niebieskim wszystko się spóźniło na ziemi". Krajobraz angielski i dusza angielska wydają się dlatego Polakom smutne. Smutek jest kolorem duszy angielskiej. „*Merry England*" — to takie samo nieosiągalne marzenie, jak „Polska od morza do morza".

Piccadilly jest sercem Londynu i symbolem życia angielskiego w pojęciu szerokich warstw narodu. Przez tę małą, prowincjonalną przestrzeń przebiega codziennie milion ludzi. Smutek jest w ich idealnej jednakowości, w ich niewzruszonym opanowaniu, w ich precyzyjnej tożsamości wychowania. Nadaremno spodziewać się w tym tłumie głośnego śmiechu, próżno wyczekiwać niespodzianki okrzyku, dowcipu, chwiejnego kroku, fantazji w zachowaniu. Oryginały i oryginalności ujęte są tu również w system. Trudno na świecie znaleźć gdziekolwiek taką masę ludzką, żyjącą tak banalnie.

Najsmutniejsze są miejsca przeznaczone w innych punktach globu na wesołość. Do *pubów* uczęszczają najsmutniejsi ludzie Anglii. Najżałośniej wygląda Anglia od strony kaskad cieniutkiego piwa, które urąga przeznaczeniom swojego wynalazku. Oberżyści angielscy zachowują się jak wrogowie ludzkości. Skąpstwo uchodzi za cnotę u tego narodu. Wśród rozlicznych cnót wielkiej królowej Elżbiety wylicza się dumnie skąpstwo.

Smutek osiadł także w dostojeństwie fałd szaty konserwatyzmu angielskiego, w jego wierności historii, w jego gotyku. Zwiedzając kościoły Londynu, chciałoby się stąd uciec na koniec świata — od tej przytłaczającej surowości. Katolicyzm, a szczególnie katolicyzm polski, hołduje barokowi. A *Church of England* zastygł w gotyku. Przy samotnym zwiedzaniu opactwa westminsterskiego wieczorem opanowuje człowieka zimny strach, wynurzający się z kamiennej grozy. Słoneczna rzymska bazylika św. Piotra Michała Anioła i Berniniego w kopii londyńskiej katedry św. Pawła Christophera Wrena jest siedliskiem smutku. A przecież słońce jest we fryzach katolickiego Brompton Oratory, a nawet w bizantyńskiej katedrze katolickiej Westminsteru. Pustką świecą anglikańskie kościoły, podczas gdy nurt życia płynie przez katolickie. Zmierzch panuje pod sklepieniami anglikańskich świątyń Londynu. Trudno jest od razu pokochać Londyn temu, kto pokochał Rzym.

Kiedy starożytny Rzym chylił się do upadku, objawiało się to w szaleństwie bogów i ludzi. Nowożytny Londyn, który ogień swego istnienia zapalił u zniczy starego Rzymu i przyjął na siebie rolę Rzymu w nowoczesności, nie zna smaku szaleństwa ni bogów ni ludzi. Jeżeli jest dziś gdzieś na świecie takie szaleństwo, Londyn jest na przeciwnych jego krańcach. Bo w mgłę i smutek angielski spowita jest siła.

JAN BIELATOWICZ

EPOKI KSIĄŻEK

Dawne książki wydobywamy dziś spod „złogów epok“, jak Schliemann Troję. Epoki te — to nasze powrotne, lecz zawsze inne obcowanie z tymi samymi książkami.

W młodości czytało się je tylko dla ich treści, dla fabuły. Książka musiała być „zajmująca“. I choć nie żądało się już, żeby była „cudowna“ albo „czarodziejska“, smak czytelnika nawiązywał jednak do bajek dziecięctwa, do ich zamkniętej konstrukcji i do rozstrzygnięć w duchu idealizowanego zmyślenia.

Kiedy następowało ostateczne odrzucenie fantastyki dzieciństwa, a sprawy młodego życia urealniały się — książka służyła jako sprawdzian szerszego poznawania zjawisk, ciągle jeszcze zagadkowych. Czytelnik domierzał zatem treść książek do własnych doznań i konfrontując ją z otaczającym go światem, przeżywał już coś więcej niż zajmującą opowieść, bo pierwsze konflikty, rozczarowania i zwątpienia.

Książki, które czytał — zazwyczaj „zakazane“ — demaskowały dorosłych nie tylko w dziedzinie erotyki, ale także w ich walce o przekonania, o byt, o miejsce w gromadzie. Młodociany czytelnik, przeobrażając się w srogiego inkwizytora wyrokował nieomylnie na rzecz sprawiedliwości i dobra. Żadne gorycze z powodu własnych klęsk nie dorównywały tym głęboko przeżywanym wzruszeniom książkowym. Po pierwszych zwątpieniach zjawiały się pierwsze oznaki sprzeciwu i buntu. Ukryty przed szpiegowskim wzrokiem dorosłych, młody czytelnik narkotyzował się książką, poczem wynurzał się na światło dzienne — odmieniony, krnąbrny, trudny.

Książka uspołeczniała więc czytelnika wcześniej, niż budziła w nim poczucie piękna. Dotyczy to przede wszystkim prozy. Zanim bowiem młody czytelnik wyłuskał z prozy — ściślej z beletrystyki — jej wartości artystyczne, słowo ujęte w inną formę budziło w nim nieokreślone przeczucia: poezja, wiersze dokonywały się w nim pierwotnym prawem rytmu, rymów, śpiewności i patosu, dając nieświadome i bezrozumne uczucie szczęścia, mieszczącego się tak samo w radości, jak w bólu i rozpaczy. W którymś wczesnym roku życia opadały jednak z zaczytanego wiersze, jak liście. Na czas jakiś, niekiedy na długie lata zaniechawszy poezji, pogrążał się odtąd całkowicie w beletrystyce. Szukając w niej wskazań i wyjaśnień, ba, mądrości życia, natrafiał mimochodem na wartości pisarskie, na różnolite i zdobywcze piękno prozy. To nowe zadośćuczynienie, biorące się już z innego źródła odczuwań, podnosiło skalę czytelnictwa, które zyskiwało cechy bezinteresowności.

Ale wtedy właśnie wkraczał czytelnik w nową epokę: szkolną. Ukochane książki, samorzutnie ocenione, okazywały się — rzecz znamienna — „arcydziełami literatury“. Dostąpiwszy jednak tej wysokiej miary, ulegały szkolnej wiwisekcji. Wszystko było już tutaj gotowe, ujęte w schematy i formuły, rozpatrzone w szczegółach, opatrzone komentarzami nauczyciela i wydań szkolnych. Dramatyczne sprawy Wokulskich, Judymów, Madź, Cedrów, Bohunów, Borynów, Kmiciców, Robaków czy Wołodyjowskich — zastygały w formuły psycho-charakterologiczne i zmierzały prosto do wniosków wychowawczych. Uczeń, łudzony „samodzielnością“ wypracowań, biedził się nad narzuconymi zestawieniami („Ks. Robak i Kmicic“, „Judym i Wallenrod“), a wpadłszy w sidła programowych ustaleń, miotał się bezradnie i posłusznie. Ciosy, zadawane przez szkolną metodę, z trudem wytrzymywał nawet „Pan Tadeusz“; Sienkiewicz, któremu wprawdzie wierzono na słowo, kapitulował przez „rozbiorem charakterów“; Żeromskiego ratowały tajnie pod ławką czytane „Dzieje grzechu“.

Jednakże mimo tych skrępowań i sztanc, nauczyciel-polonista ujawniał jakieś tajemnicze właściwości książek, podniesionych do hierarchii „dzieł“. Odarte z czaru bezpośredniości samotnego czytania, książki nabierały znaczenia jako przedmiot drobiazgowych rozważań krytycznych. Uczeń, który w zniechęceniu przestał już być czytelnikiem, popadał w manię czy też pasję badania. Niepokojąc nauczyciela i kolegów, dochodził do własnych przekornych wniosków i skłonny do herezji, wyrokował samowolnie, w gniewnym przeświadczeniu o swojej słuszności. Wiele z tego gniewu przylgnęło do „arcydzieł“ na długo, niekiedy na zawsze. Uczeń pokonany szkolnym rygorem, wymykał się jednak przepisowej lekturze, aby po dawnemu skrycie dobierać się do niekontrolowanych utworów pisarzy współczesnych. Ich pozaszkolny rozgłos sprawiał, że czytanie nabierało cech snobizmu.

Po epoce szkolnej formalistyki, o ile ktoś nie zajął się fachowo literaturą, — następowała „epoka zepsucia smaku“, albo zupełne zaniechanie książek. W pamięci pozostawały jedynie strzępy poetyckiej czy powieściowej treści, niezastosowalnej w samoistnym życiu dorosłych. Dawna, niegdyś ukochana książka, przelotnie dostrzeżona w witrynie księgarskiej, zdolna była tylko wywołać uśmiech wyrozumiałości. Natomiast nowe nieznane tytuły i nazwiska musiały być szczególnie atrakcyjne i rozreklamowane, żeby zniewolić opornych. Być może, że archeolog, dokopawszy się kiedyś do tej warstwy złogów, znajdzie nierozcięte książki, butwiejący wysiłek pisarzy Polski Odrodzonej. Znajdzie jednak ich książki. Istniały bowiem w tej niewdzięcznej epoce, wbrew obojętności społeczeństwa.

To, co potem przyszło, było: okupacja jedna i druga. Było: konfiskowaniem, paleniem, niszczeniem, cenzurą. Ale było też jednocześnie powrotem do czytelnictwa zakonspirowanego, więc znowu młodego i żarliwego. Tak miała się rzecz w Kraju. A na obczyźnie, zwłaszcza w przymusowym odcięciu, książka polska stała się przedmiotem tak cennym, jak bywa to, co nie jest osiągalne. Zubożali o wszystko — ktoby się tego spodziewał? — szukaliśmy jej, dorabiali na nowo.

Tak właśnie było w ZSRR. Książki, wrzucane do tobołków drżącymi rękami w momencie wysiedlania, przybyły potem do Buzułuku czy innych miejsc organizowania się Polskich Sił Zbrojnych — w stanie takiego sponiewierania, jak ich właściciele. Zaczytywana w „posiołkach“, książka była już tylko plikiem kartek albo szarą ziemistą cegiełką. Pozbawiona swojego kształtu i rozmiaru, w niczym nie przypominała włożonych starań wydawców. Jej przypadkowość, uzasadniona dopiero późniejszą poczytnością, przybrała znamiona niemal mistyczne. Był więc któryś tom „Ogniem i mieczem“, kilka arkuszy „Urody życia“, czytanka szkolna. Można było w tych czasach szafować wszystkimi banałami: „żywe słowo“, „pokarm duchowy“, „symbol“, „skarb“. Można było nie żałować sobie tych określeń, skoro wyrażały najistotniejszą prawdę.

Okazało się zatem, że książka jest potrzebna, że po prostu trudno żyć bez niej. Mniejsza o to, że była czymś zastępczym, że rekompensowała wszystko utracone. Ludzie więzień, łagrów i posiołków przyznawali się, że brak książki odczuwali nieraz dotkliwiej niż głód. Książka nie była jednak dla nich czymś oderwanym, książką byle jaką. Miała tytuł: „Pan Tadeusz“. Niektórzy mówili: „Trylogia“. Kilku starszych przyznało się z zażenowaniem, że: „Robinson“*).

W Buzułuku i w Jangi-Jul była już „biblioteka“. Przychodziły wydawnictwa z Anglii, buszowało się po sowieckich księgarniach w Taszkiencie, odnajdywało jakichś ukrywających się bukinistów i antykwarzy, albo ktoś szeptem wskazywał prywatne domy, w których były nie księgozbiory, ale plątające się, niepotrzebne książki polskie.

W ten sposób udało się nabyć kilka niekompletnych powieści Kraszewskiego, Klemensa Junoszy, tom Ignacego Chodźki. Były to nikłe resztki polskich księgozbiorów, które niewątpliwymi drogami zawędrowały z Ukrainy do Uzbekistanu. Już sam los tych nieraz w półskórek oprawnych książek układał się w imaginacyjną opowieść. „Hrabina Cosel“, bez początku i końca, wchodziła w tę opowieść jak zjawa damy z portretu, strasząca w starym dworze.

*) Któregoś dnia sierpniowego 1941 roku — wyjeżdżaliśmy już z Jangi-Jul na Krasnowodzk do Iranu — przyszła kobieta z walizką owiązaną sznurami. Razem z małym synkiem przydźwigała tę walizkę, w której były książki. Należały one do jej starszego syna, kilkunastolatka zamordowanego podczas pracy na „posiołku“ przez Kazaka, który upodobał sobie zegarek chłopca. Kobieta, pani P., pragnęła oddać te książki „w dobre ręce“, aby ktoś miał z nich pożytek. Bardzo uważnie patrzyła, jak biorę te książki do rąk i jak je wkładam do paki już prawie pełnej, gotowej do wyjazdu z ZSRR. Dar po zamordowanym nie był bez wartości, mimo, że były to przeważnie książki szkolne, podręczniki literatury, wypisy. Na każdej książce imię i nazwisko zmarłego napisane ręką matki. Z krzyżykiem — znakiem śmierci. Dotykając tych książek ruchem nerwowym i płochliwym, napominała mnie surowo: „Trzeba uważać, mój syn bardzo lubił swoje książki“. Owdowiałe po tej miłości chłopca, książki w Italii przez cały rok służyły nauczycielom i nauczycielkom z Gimnazjum i Liceum PSK w S. Giorgio. Potem wróciły do biblioteki redakcyjnej „Ochotniczki“, zawsze tak samo usłużne, a jednak jakby zatajone. Są przecież ciągle książkami chłopca, który zginął w stepie.

Kiedy jednak Londyn, w tamtych latach dość ruchliwy i troskliwy, zaczął nadsyłać tom po tomie: „Trylogię“, „Pana Tadeusza“, „Wierną rzekę“, „Wiatr od morza“, „Wesele“ — nastąpiła już nowa epoka tych książek. Czytając je, usiłowano ich odległą treść i nastrój wtopić w przeżycia i wydarzenia aktualne. W tym zamiarze naginania ku sobie i teraźniejszości — było jakby konstruowanie zaplecza utwierdzanie się w nurtujących myślach.

Ze zdumieniem, z zachwytem i z rozpaczą przyjmowano od Sienkiewicza lekcję „pokrzepiania dusz“, od Żeromskiego wyrzut niespełnienia społecznych nakazów, od Mickiewicza wieszczenie przyszłości, od Wyspiańskiego niecierpliwą gorycz. Wielcy pisarze wrócili na swoje pozycje, skoro nawet tak niedawno jeszcze zblazowani czytelnicy znowu reagowali młodzieńczo i pierwotnie.

Nie wszyscy oczywiście przeżywali tę epokę odrodzenia. Byli bowiem tacy, którzy z książką wypożyczaną z tej — pożal się Boże — biblioteki, zetknęli się po raz pierwszy w życiu. Bez względu na wiek, byli to naprawdę młodzi czytelnicy — zapalni i skłonni do wątpienia jednocześnie. Nie dali się oni tak łatwo ująć w karby, choć narzucano im poniekąd belferskie oceny. Oświatowcy wojskowi, wychodząc z nieco innych założeń niż szkolne, posługiwali się bowiem również gotowymi sztancami, wprawdzie nie literackimi lecz wychowawczymi. Pogadanka w świetlicy brała rozmarzonego czytelnika na spytki. Ale nie zawsze tak wypadało, jak sobie postanowił oświatowiec czy świetliczarka. Choćby nie wiedzieć jak chciano z książki zrobić pretekst, surowy jeszcze czytelnik, nie obeznany z twórczymi zamierzeniami pisarza, sam z siebie potrafił domyśleć się i wyczuć jej sens i piękno. Dostrzegał też po swojemu jej wady i braki.

To też nieoficjalne i nieobowiązujące rozmowy z czytelnikiem bywały nieraz rewelacyjne. Na przykład o „Weselu“ powiedział mi któryś, że nie rozumiał o co tam chodzi, ale książka jest piękna, bo — gra, śpiewa i tańczy. Z sarkazmu poety pozostał — wodewil, uroczy bezsens rytmu i łatwych rymów. O Żeromskim tak mówiono: że niby to pisze naszym językiem, ale wszystko jakoś inaczej i dlatego osoby są nieprawdziwe, jak we śnie. Nie był to zarzut, tym bardziej, że doszła do tego konluzja: „to, co jest w książce, nie musi być prawdziwe“. Pisarz, „szarpał do trzewi“, spełniał teraz rolę zmory sennej, a w najlepszym razie odwodził czytelnika od rzeczywistości takiej, jaka nie śniła się ani filozofom ani poetom.

Bardziej świadomi spraw pisarskich, odrzucali balast swojej wiedzy, aby bez przeszkód oddawać się radosnemu czytaniu. Zażywającym tego niezmąconego szczęścia zaczęło jednak wkrótce przeszkadzać coś innego. Nie trudno było stwierdzić, że wiele z tych książkowych zagadnień uległo przeobrażeniu. Wpływały na to nie tylko sprawy związane z wojną, nie tylko klęski, nadzieje i troski. Gromada polska odcięta od tubylczego środowiska, ogarnięta obcą przyrodą, w tym ściślejszą weszła zażyłość z książkowymi ludźmi. Wprędce więc przejrzano ich na wskroś, przewartościowano, zdemaskowano. Stosunek do bohaterów uległ zmianie na przekór przejrzystej intencji autorów i wbrew dotychczasowej interpretacji miarodajnych krytyków.

Ta nowa epoka mogłaby nosić pretensjonalną nazwę: „przewartościowanie wartości“, gdyby nie szczególne warunki, w jakich znajdowali się czytelnicy. Było to bowiem w pustyni irackiej, gdzie stany depresji przeplatały się ze wzburzeniem psychicznym. Jakakolwiek książka wywoływała więc niespodziane reakcje, przewrotne i naiwne jednocześnie.

Stało się to zwłaszcza z kilku powieściami o sławie ustalonej i zdawałoby się niewzruszalnej. Krążyły te książki po namiotach, w których dusznym wnętrzu sprawy dawnego życia rozpatrywane były z bezwzględną surowością. Tęsknota za minionym nachodziła dopiero nocą. Człowiek stawał „na progu“ namiotu niemal zasypany gwiazdami i prześwietlony księżycem aż do głębi serca. Wyśmiewany przez szakali weselących się w sąsiedztwie obozu, nie chciał i nie umiał porzucić mlecznych dróg, po których wędrując, docierał do malutkiego celu swojej wyobraźni. Wtedy przeczytana książka tylko uzupełniała zasoby uczuć. Treść natomiast, czy też poglądy wielu z tych książek, uległszy już przewartościowaniu, nie towarzyszyły swoją omylną racją marzeniom pustynnej nocy.

Właśnie w pustyni irackiej dotarła do nas „Lalka“ Prusa. Nie pamiętam, czy to było nowe wydanie palestyńskie, czy też egzemplarz z „Pism Bolesława Prusa“, wydanych na kilka lat przed wojną przez Gebethnera i Wolffa. Wszystkie dawne sugestie wyszły naprzeciw tej powieści, tak lubianej i powszechnie uznawanej. Teraz jednak z toku powieści wyłoniły się jakieś fałsze zawinione uprzedzeniami autora. A może tylko zawinił subiekt Rzecki, tworząc legendę Wokulskiego. Tymczasem doszli czytelnicy do wniosku, że nuworisz Wokulski tak samo nie zasługuje na współczucie, jak „lalka“-Izabella na potępienie. Romans kupca z hrabianką przypominał nieomal „Trędowatą“ przy rolach odwróconych — jeżeli wziąć jedynie pod uwagę uproszczony konflikt miłosny i zagadnienie „sfer“.

Zarzuty czytelników dotyczyły jednak przede wszystkim charakteru Wokulskiego. Metody tego starszego, bogatego pana nie były przecież dżentelmeńskie. Wykupił weksle i srebra rodzinne Łąckich, nabył przez podstawioną osobę kamienicę Łąckich na licytacji, posługiwał się detektywem, szpiegował, po prostu osaczał pannę Izabellę. Autor nie zataił, że amant nie był pociągający, ale takie novum w powieści drugiej połowy XIX w. miało wówczas swoją atrakcyjność. Gorzej, że handlowe pomysły pana Wokulskiego i w tamtych pozytywistycznych czasach nie mogły uchodzić za obywatelskie. Więc sprowadzanie rosyjskich perkalików dla konkurencji z łódzkimi, więc ta niewyraźna, złotodajna spółka z kupcem rosyjskim Suzinem... Czyżby pan Wokulski był „ugodowcem“? Jeżeli tak — nie mógł liczyć na sympatię czytelników, którzy mieli inne przekonania polityczne. Wokulski, balansujący między romantyzmem a pozytywizmem, musiał ostatecznie utracić obywatelstwo naszych czasów, ale utracił więcej, bo czytelnicy dzisiejsi przestali być jego sojusznikami przeciw pannie Izabelli.

Znaleźli się wprawdzie i tacy czytelnicy, którzy z całą wyrozumiałością oceniali Wokulskiego w kompleksie jego urazów. Ci jednak mieli pretensje do autora za to, że sam nie wyzbył się przesądów klasowych. Gdzieś, już w fabularnym gąszczu powieści ujawniło się szlachectwo rodowe Wokulskiego, po to chyba, żeby mezalians panny Izabelli nieco złagodzić.

O ileż realniej i prościej (w dodatku z happy endem!) wyłożyła swoje tendencje reformatorskie Orzeszkowa w „Nad Niemnem“, tej czarującej krajobrazowej powieści. Ale i tu ta sama wstydliwość co u Prusa, ta sama nieporadność, gdy chodzi o sprawę klas, czy też sfery. Jan Bohatyrowicz jest przecież także szlachcicem, bodaj zaściankowym.

Czytelnicy tych powieści — gdziekolwiek byli: w Iraku, Palestynie, Egipcie czy Włoszech — nie godząc się na tę szczątkową kastowość, zrażali się nie tylko do bohaterów powieści, ale i do pisarzy, których pomawiali o oportunizm społeczny. Tak osądzając utwory, które powstały przed dziesiątkami lat, nie domyślali się jednak czytelnicy, że właśnie ich żywa reakcja potwierdza ciągle żywą wartość tych książek. Można bowiem odbronzowić bohaterów i poszerzyć zakres zagadnień, ale piękno i prawda „Lalki“ lub „Nad Niemnem“ to przecież styl epoki, tło obyczajowe, opisy przyrody — to te marginesy właśnie, w których pisarz ujawnia się i urzeczywistnia.

A teraz inna pozycja sporna: „Ludzie bezdomni“. Czytelnicy tej powieści doznawali takich uczuć, jak gdyby zostali zdradzeni i oszukani. Judym, doktor Judym! Jakże się to mogło stać, że ich tak zaczarował w młodości a nawet w szkole, że w Polsce Odrodzonej zawędrował „pod strzechy“, aby tam być ideałem społecznika i rewolucjonisty? Teraz tenże sam czytelnik, wywodzący się spod strzechy, a zgodnie z nim robotnik miejski i inteligent nie dali się już przechytrzyć Judymowi, który tak bezambitnie, w poczuciu mniejszej wartości klasowej „podnosi oczy“ — na hrabiankę. Można na usprawiedliwienie Judyma powołać się na jaśniepański motyw miłosny, powtarzający się w rozmaitych wariantach w niemal wszystkich powieściach Żeromskiego. Już nawet nie szlachetczyzna, ale magnateria w rozgrywce społecznej — uczuć!

Kiedy potem wysunęła się na plan pierwszy klasowo współmierna miłość Joasi, ubogiej, dobrej i, jak się to dziś mówi, ideowej dziewczyny, nikt już nie wątpił, że Judym nie odszedłby tak górnie i chmurnie od hrabianki Natalii. Mariaż z hrabianką ułatwiłby mu zrealizowanie reformatorskich projektów, dałby mu pozycję nie tylko społeczną, ale i towarzyską. Judym, znalazłszy „szczęście w domu“, może nie zapomniałby, że szczęścia „nie było w ojczyźnie“. Ale takie fabularne ujęcie ułatwiłoby bohaterstwo, umniejszyłoby cierpienie i uprościłoby konflikty. A właśnie te konflikty wydały się czytelnikom urojone, za czym poszło, że runął mit Judyma. Książka, która wstrząsała sumieniem paru pokoleń, aby długo potem służyć szkolnej dydaktyce jako „wzorzec silnych charakterów“, doczekała się niemal całkowitej klęski ideologicznej.

Co zatem pozostało z „Ludzi bezdomnych“? Jeden — z tych młodych, nieinstruowanych czytelników — odpowiedział: „Została Joasia, pokrzywdzona, dzielna dziewczyna. Ona jest najważniejsza w tej książce“. A po namyśle dodał to, co nurtowało tych wszystkich naprawdę bezdomnych ludzi: „Dlaczego Judym tak postąpił? Z Joasią byłoby mu łatwiej żyć na świecie i walczyć o te wszystkie dobre sprawy. Niewiele potrafi zrobić człowiek bez domu“. Własnowolne wyrzeczenie się Judyma wydawało się tym ludziom pozbawionym kraju i domu — doprawdy irytujące. Chcieli oni prostych rozstrzygnięć według swoich doznań i swojej tęsknoty. Dlatego też w ich pojęciu liryczna miłość Joasi mogłaby każdemu wyznaczyć jego miejsce na świecie.

Rewidując swój stosunek do tych książek, czytelnik nie zdawał sobie sprawy z przemian, jakie w nim nastąpiły w czasach „rzeczowości“. Nie chciał więc zrozumieć, że dążenia i wnioski pisarza tkwią w czasokresie jego twórczości, zaś trwałe zostaje tylko to, co ma cechy nieodmiennie ludzkie, albo jest powrotne jako zjawisko historyczne.

Dlatego zapewne nikt nie sprzeciwiał się „Nurtowi“ Berenta, mimo, że podobieństwa z naszym czasem nie dawały zadośćuczynienia. Czytelnik dostrzegał przecież, że powracająca fala zaniosła go na dawne miejsca bitew, aby go ponownie okryć chwałą, otulić sławną śmiercią i znowu kusić doświadczeniem. Zrozumiał czytelnik nie tylko z „Nurtu“, ale z wydarzeń bieżących, że przymusy polityczne mają właściwość odbierania rozumu obywatelom. Ten pogląd na dzieje i losy nie był jednak w sprzeczności z celowością toczącej się wojny. Wszystko musiało się powtórzyć — i wojna, i rozczarowanie — aby powtórnie przyszła wolność. A doświadczenie? A nauka, która poszła w las? Pisarz nie jest temu winien, że mądrzejszy od mężów stanu o całą wspaniałość swojej wizji twórczej, — tylko tworzy, lecz nie kieruje losami narodów i świata.

Wizje pisarza działają jednak pobudliwie i każdorazowy czytelnik ma prawo uczestniczyć w tym przetwarzaniu rzeczywistości na dzieło sztuki. Czytelnik rozporządza bowiem nowymi elementami swojej współczesności i uzupełnia, albo — jak się to stało z przytoczonymi utworami — przeciwstawia się stanowisku pisarza. Nie powstrzymuje czytelnika od korzystania z uprawnień współtwórcy nawet „klasyczność“ dzieła. Ale stąd łatwo wysnuć pocieszający wniosek: że książka nie jest martwą pozycją.

„Pociecho moja“ — pisał Wyspiański w swoim erotyku do książki. Był wtedy czas pokoju, kontemplacji w wiślanym pejzażu nad brzegiem rzeki. My wydobywaliśmy książki nawet spod gruzów w czasach nieszczęść i grozy wojennej. Mówiliśmy wtedy bez patosu, że książki więcej dla nas znaczą niż pokarm krótkiego życia: chleb. Z chlebem łączy się wieloraka symbolika. Ze słowem również. Stąd — ze słów poczęte i do spraw ludzkich p o d o b n e — dzieło pisarza żyje, umiera i zmartwychwstaje.

HERMINIA NAGLEROWA

JAŁOWIEC

Jałowiec jest czepliwy.
Wie to jemiołuszka :
on jej — piórka, gdy ona skubie mu jagody.
Kret-kopacz, odwalając dogłębne podchody,
o twardy korzeń smoli aksamity brzuszka.
Krzew się zasysa pionem w co najlitsze piachy,
cmokcze po wywieiskach — aż siorbnie zwilżenia
i doskonałym stożkiem wnet się zazielenia,
strosząc dostatnio igły w palczate baldachy.

I dymy ma czepliwe.
Gdy jechać Podlasiem
od Liwca w zadumane nadbużańskie strony —
kraj senny, trójkrzyżami przy wioskach znaczony,
po mokradłach — bociany w zadrzemaniu ptasiem,
a nad czerwonodziobe zmarkocone głowy
z każdej miedzy, od każdej przycupniętej chaty
snuje się, jakby znakiem przedwiecznej obiaty,
pachnący, kadzidlany opar jałowcowy.

Próbuj wyrwać jałowiec.
Nadwyrężysz dłonie.

Popróbuj go przesadzić — uschnie i zmarnieje.
Kędy się sam wysieje, dobrze mu się dzieje
na co najlichszym smugu, na płonym wygonie.
Ktoby go chciał przeszczepiać, darmo się mozoli :
samo-swój, sobiepański, giętki a niełomny,
czepliwy i cierpliwy — piasków zwid ogromny...
Jak leśny ptak : chce słońca, swobody i woli.

A teraz ty, człowieku :
. . . . . .
przez zawieję czarną
targnęło-ś poza morza, i góry, i rzeki,
i tylko przez stulone laską mu powieki
myśl rzucasz na swą ziemię, jak jałowiec ziarno.
Skrąż w sobie wszystkie soki. Nie złam się.
Powiedz,
że chociaż w łuk przemożna siła cię ugina,
odegniesz się — i kiedy wybije godzina
odrośniesz w słońcu, wolny śródleśny jałowiec.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

ĆWICZENIE „PIŻMOWIEC“ *)



NA DALEKIEJ PÓŁNOCY

Białymi plamami odcina się na mapach Kanady ogromny, bo jedną, trzecią obszaru Dominium zajmujący szmat ziemi, nazwany sucho: Północno-Zachodnie Terytoria. Białe plamy na południu wrzynają się w oznaczone prostymi liniami granice prowincji, tworzących właściwą Kanadę. Od zachodu sąsiaduje Yukon, wchodzący jeszcze w skład Północno-Zachodniego Terytorium z amerykańską Alaską. Na wschodzie zatoka Hudsona oddziela wschodni płat terytorium — Keewatin od odległego o tysiąc kilometrów Półwyspu Labradorskiego. Ku Północy zaś białe plamy rzedną w niebiesko znaczonym Oceanie Lodowatym, tworząc w szeregu większych i mniejszych — ale ciągle jeszcze bardzo dużych — wysp trzecią część terytorium: Franklin. Największy jednak obszar ma część środkowa — Mackenzie, często nawet utożsamiana z całym tym szmatem ziemi podbiegunowej. Szmatem niebylejakiej wielkości, bo równym obszarowi Europy bez Rosji, Półwyspu Skandynawskiego i Wysp Brytyjskich.

Połowa obszaru Północno-Zachodniego Terytorium leży na północ od koła podbiegunowego. To samo tłumaczy znikomą ilość mieszkańców, która sprowadza się do jednego człowieka na obszarze stu mil kwadratowych!

Białe plamy na mapie Kanady coraz bardziej nabierają barw. Powstają osady, odkrywa się coraz nowe złoża cennych i nawet bezcennych minerałów. Węgiel, złoto — i najważniejszy dzisiaj uran. Zainteresowanie Północno-Zachodnim Terytorium wzrasta. Nie tylko zainteresowanie pojedyńczych ludzi, awanturniczych poszukiwaczy przygód i majątku, ale zainteresowanie badaczy, techników i wojska.

Najdobitniejszym dowodem tego zainteresowania jest wyprawa „*Musk-ox*“ zorganizowana przez Kanadyjskie Ministerstwo Obrony Narodowej równo rok temu. Wyprawa wojskowa, wspierana przez cywilnych fachowców, doszła do skutku dzięki współpracy Ministerstwa Kopalń, Komunikacji, Królewskiej Konnej Policji i rady badawczej Terytorium Północno-Zachodniego.

Cel wyprawy, mającej przede wszystkim charakter badawczy stanowiło przestudiowanie możliwości współdziałania sił powietrznych z wojskami lądowymi w okolicach podbiegunowych i wypróbowanie sprawności specjalnych gąsienicowych pojazdów t.zw. „*Snowmobiles*“ (śnieżne samochody) na szlaku 5000 kilometrowym, z czego 1300 km na północ od koła podbiegunowego.

Wyprawa miała trwać 81 dni. Połowa tego czasu przypadała na przejście okolic w najcięższych warunkach zimy podbiegunowej 1500 km przy nastającej wczesnej wiośnie, reszta już w pełni roztopów. Całego zaopatrzenia dostarczały z powietrza „Dakoty“, dla których uruchomiono specjalnie bazy w Churchill, Yellowknife, Norman Wells i Fort Nelson.

14-go lutego wyprawa ruszyła. 45 żołnierzy i cywilnych obserwatorów w dwunastu samochodach śnieżnych opuściło Port Churchill nad Zatoką Hudson w prowincji Manitoba. Kierownik wyprawy ppłk. P. D. Baird, miał za sobą kierownictwo innego ćwiczenia w okolicach podbiegunowych a przed wojną stale mieszkał właśnie w Churchill.

Po niespełna trzech miesiącach zgodnie z ustalonym planem — uczestnicy wyprawy golili swe długie już brody i wąsy, przygotowując się do powitania w mieście Edmonton, w prowincji Alberta. Ćwiczenie „Piżmowiec“ skończyło się. Ludzie, samochody śnieżne i zaopatrujące ich samoloty — wypełnili zadanie.

PIONIERZY

Starannie przygotowane i rozplanowane ćwiczenie „Piżmowiec“ miało swoich poprzedników. Do wielkiego zagadnienia trzymiesięcznej tury gąsienicowej w klimacie podbiegunowym nie przystępowano dorywczo. Drogę torowały trzy kolejne ćwiczenia: „Eskimos“, „Niedźwiedź polarny“ i wreszcie ostatnie, najbardziej, choć na znacznie mniejszą skalę zbliżone do „Piżmowca“ ćwiczenie „Leming.“

Ćwiczenie „Eskimos“ miało założenie czysto wojskowe. Chodziło o przestudiowanie warunków ruchu i działania brygady piechoty w północnych mrozach i śniegach wśród bezdroży. 16-go stycznia 1944 r. wyruszyło 2000 żołnierzy i przez długich czterdzieści siedem dni przemierzali oni pieszo, na nartach i łyżwach okolice jezior w północnej części prowincji Saskaczewan. Odziani w białe, maskujące ich na śniegach, opończe mieli cały swój sprzęt i zaopatrzenie, śpiwory, racje żywnościowe, amunicję — na sobie. Przeciętna głębokość śniegu, stwierdzona podczas tego ćwiczenia: 6 metrów!

„Niedźwiedź polarny“ zaczął się w Górach Skalistych w lutym 1945 i trwał pełnych czterdzieści pięć dni. Brało w nim udział 1154 żołnierzy — zaopatrywanych tym razem z powietrza przez samoloty, startujące z baz na zamarzniętych jeziorach. Tutaj głębokość śniegu była mniejsza, bo przeciętnie niespełna 3 metry.

Ćwiczenie „Leming“ trwało zaledwie dziesięć dni i dało możność wypróbowania po raz pierwszy na dużej przestrzeni, bo na 1000 km — nowych „*Snowmobiles*“. Te gąsienicowe pojazdy śnieżne, zbudowane częściowo z aluminium a częściowo z dykty, wykazały niezwykłą sprawność. Z daleka podobne do ogromnych „*Carriers*“ — przewalały się jak czołgi przez pola śniegowe, krzaki, zamarznięte jeziora i rzeki. Po takiej próbie dopiero można było powierzyć im zadanie wielokrotnie cięższe od dotychczasowych: ćwiczenie „*Musk-ox*“.

WYPRAWA „PIŻMOWIEC“

Wyprawa szła przez trzy części Terytorium Północno-Zachodniego, pomijając jedynie najbardziej na zachód wysunięty Yukon. Punktem wyjścia był port nad Zatoką Hudson — *Churchill* (skąd od 1929 odpływały statki wyładowane zbożem stepowych prowincji Manitoba, Saskaczewan i Alberta — do dalekiego Londynu i Amsterdamu). Cztery dni później samochody śnieżne wchodziły do posterunku *Eskimo Point* już na obszarze Keewatin. Stamtąd szlak prowadził na północ, poprzez Jezioro Baker do posterunku *Cambridge Bay*, położonego na wyspie Wiktoria a więc już za głęboko zamarzniętym morzem.

Wyprawa trwała już prawie miesiąc i część maszyn odeszła jeszcze bardziej na północ do posterunku *Denmark-Bay*. Tutaj bliskość bieguna magnetycznego — około 350 km na wschód — uniemożliwiała zwykłą nawigację, dając wyprawie możność posługiwania się radarem. Poprzez pola lodowe i śniegowe na wyspie Wiktoria i w cieśninie *Dolphin* szły teraz „*Snowmobile*“ z powrotem na amerykański kontynent do *Coppermine* i dalej na południe do *Fortu Radium*, gdzie przekroczono znowu koło podbiegunowe. W poprzek *Wielkiego Jeziora Niedźwiedziego* do bazy samolotowej w Norman Wells i stamtąd korytem potężnej Mackenzie (ta największa rzeka w Kanadzie ma niemal 4000 km długości) do *Fortu Simpson*, *Fortu Nelson* i — wreszcie do ostatniego punktu wyprawy — Edmonton.

Ten końcowy odcinek podróży już w maju, w pełnej wiośnie. Tu samochody śnieżne zawiodły: sprzęt, który pokonał największe trudności w klimacie podbiegunowym — nie nadawał się do podróży po drogach, gdyż wznosił tumany kurzu. Ostatecznie więc załadowano maszyny na pociąg i tak dostawiono na końcową paradę w Edmonton.

WYNIKI WYPRAWY

Opracowanie wyników wyprawy i przestudiowanie poczynionych spostrzeżeń potrwa jeszcze długo. Nie wszystkie też wnioski będą podane do publicznej wiadomości. Bo jeśli np. statystyka kanadyjska nie ogłasza wydobycia uranu — trudno oczekiwać opublikowania danych, zebranych co do zasobów uranu przez biorących udział w ćwiczeniu geologów z Ministerstwa Kopalń. Ale szereg obserwacji już obecnie ogłoszonych stanowi ciekawy materiał uzupełniający wiadomości o krajach polarnych.

Rozwiązano też zadowalniająco kwestię wyżywienia w krajach arktycznych bez uciekania się do upolowanej zwierzyny czy też złowionych ryb. Obsada wyprawy powróciła do bazy w doskonałej formie, pomimo trzymiesięcznej diety konserwowej, uzupełnianej czasem tylko zrzucanymi przez samoloty owocami.

Najwięcej może doświadczeń dotyczyło różnych sposobów nawigacji. Bliskość bieguna magnetycznego wykluczała na pewnym odcinku wyprawy posługiwanie się busolą. Zastąpiły ją astronawigacja i radar. Wyprawa była przez cały czas w kontakcie radiowym z bazami lotniczymi a zrzuty żywności i paliwa obeszły się bez większych strat. Ogółem „Dakoty“ dostarczyły 100 ton zaopatrzenia czy to za pomocą zrzutów spadochronowych czy na szybowcach.

Całe ćwiczenie odbywało się na obszarach, stanowiących wnętrze Kanady, nie na jej pograniczu. To też najciekawsze doświadczenia dotyczą współdziałania lotnictwa z oddziałami lądowymi, znajdującymi się z dala od brzegów, z dala od jakiejkolwiek innej możliwości zaopatrzenia i uzupełnienia zapasów i sprzętu — w warunkach ciężkiej zimy polarnej. Te doświadczenia nie będą wyłączną tajemnicą kanadyjską, gdyż w ćwiczeniu brał udział przedstawiciel Stanów Zjednoczonych.

PYTANIA I ODPOWIEDZI

I na tym tle samo ćwiczenie i jego ujawnione czy nieogłoszone wyniki nabierają szczególnego znaczenia.

Mimowoli niemal nasuwa się pytanie: Jaki jest istotny cel ćwiczenia? Zaczepny czy obronny? Czy chodzi o przestudiowanie możliwości obrony ogromnego kontynentu północno-amerykańskiego przed jakąś inwazją — grożącą z zewnątrz, może od strony jakiegoś państwa europejskiego, jak niedawno przestrzegał premier prowincji Ontario George Drew? Czy chodzi o zbadanie możliwości uderzenia na inny kontynent od strony Arktydy, gdyby zaszła tego potrzeba?

Nie próbując dociec wszystkich tajników polityki kanadyjskiego Ministerstwa Obrony Narodowej, ani nawet nie zakładając niewątpliwej chyba pokojowości społeczeństwa kanadyjskiego — można znaleźć odpowiedź na to pytanie. Nie trudno odgadnąć, o jakim to europejskim państwie myślał polityk kanadyjski, przestrzegając przed możliwością inwazji od północy. Przecież nie Norwegia, nie Szwecja ani nie wyczerpana zupełnie przegraną wojną — Finlandia może być napastnikiem. Zostaje tylko Związek Sowiecki. To państwo, które pierwsze zorientowało się w bogactwach obszarów podbiegunowych i wyprzedziło inne kraje w badaniu Arktydy. To państwo, które już trzy razy walczyło w strefie niekończącej się nocy polarnej. Związek Sowiecki nie lekceważył niebezpieczeństwa „interwencji kapitalistycznej“ od północy.

Rosjanie mieli w ogóle poczucie niebezpieczeństwa tego odsłoniętego skrzydła od bardzo dawna. Jeśli nie od 1553, kiedy to Anglicy dobili do ujścia Dźwiny północnej i tam założyli swoje handlowe faktorie, to na pewno od czasu pierwszej blokady Morza Białego przez W. Brytanię, podczas Wojny Krymskiej. W okresie pierwszej wojny światowej Murmańsk, niezamarzający port Północy — był jedynym oknem na sprzymierzony z Rosją zachód. A brytyjsko-kanadyjskie lądowanie w Murmańsku w dniu 2-go sierpnia 1918 musiało stanowić dla Rosji Sowieckiej widome ostrzeżenie.

Związek Sowiecki nie zbagatelizował tego, ale rozpoczął na szeroką skalę zakrojone badania krajów podbiegunowych. Niepowodzenie wyprawy balonowej włoskiego generala Nobile otworzyło wszystkim oczy na opanowanie przez Rosjan techniki żeglugi i komunikacji podbiegunowej. Sowiecki łamacz lodów dotarł do rozbitków i wyratował ich. Nobile wkrótce przeszedł do służby sowieckiej, jako inżynier.

Każdy rok w dwudziestoleciu między wojnami znaczył postępy Rosji na Dalekiej Północy. Stacje meteorologiczne wysunięto niemal pod sam biegun, wyszkolono kadry żeglarzy i lotników polarnych. Wybudowano szereg miast nad brzegiem Oceanu Lodowatego, i uruchomiono komunikację morską od Murmańska i Archangielska aż do dalekich portów syberyjskich. Sowiecka Republika Jakucka jest całkowicie objęta „*blackoutem*“. Nie dopuszcza się tam w ogóle żadnych cudzoziemców.

Z rozwojem żeglugi podbiegunowej powietrznej i morskiej poszła w parze rozbudowa sieci kolejowej. Dzięki pierwszej wojnie światowej uzyskał Murmańsk połączenie kolejowe z Leningradem, uzupełnione koleją Archangielsk-Leningrad. Obok transsyberyjskiej kolei jest obecnie w budowie druga magistrala, biegnąca znacznie bardziej na północ właśnie przez Kraj Jakutów. Miliony zesłańców politycznych pracowały nad budową kanału, łączącego Morze Białe z rosyjską siecią. A zaraz w pierwszych latach po rewolucji, Sowiety rozciągnęły suwerenność na cały obszar od północnych brzegów Rosji aż po biegun. Rosja nie zaniedbała krajów podbiegunowych.

WNIOSKI

Na tle tej ekspansji sowieckiej ku biegunowi ćwiczenie „Piżmowiec“ czy „Eskimos“ nabiera znaczenia zdecydowanie obronnego. Nie z Kanady mogą wyjść plany podboju sąsiednich przestrzeni polarnych, nie z Kanady wyjdzie zagrożenie powstających na Syberii miast polarnych. Przeciwnie — Kanada szuka na nieprzemierzonych śnieżnych pustyniach Terytorium Północno-Zachodniego zabezpieczenia swoich złoto- i urano-dajnych złoży, swojego przemysłu a w dalszym ciągu zabezpieczenia całego kontynentu północno-amerykańskiego przed uderzeniem, które może nadejść. Ćwiczenie nie jest wymierzone przeciwko nikomu.

Dało wyniki pierwszorzędne dla wzbogacenia wiedzy o krajach polarnych, lecz jednocześnie stwierdziło możliwość utrzymania małego, ale bardzo lotnego oddziału w warunkach polarnych w szybkim ruchu — tylko przy zaopatrzeniu z powietrza. Dało dowody, że nowoczesny sprzęt nie tylko pozwala na pokonanie ogromnych przestrzeni bezludnych i pustynnych, lecz na budowę polarnych lotnisk, z których mogą działać także i cięższe bombowce o zasięgu dziś już dużym i stale wzrastającym. Bombowce, w których zasięgu mogą się znaleźć nawet w głębi innych kontynentów przygotowywane narzędzia ewentualnej agresji.

Ćwiczenie „Piżmowiec“ wskazało sposoby zabezpieczenia północnego skrzydła wielkich demokracji zachodnich.

STEFAN KOSSAK

*) „*Exercise Musk-ox*“ — zdajemy sobie sprawę z nieścisłości polskiego przekładu, gdyż „Piżmowiec“ to dosłownie „*Muskdeer*“. Jednakże nie wydaje się celowe wzbogacenie języka polskiego jeszcze jednym piżmowym nowotworem na oddanie słowa i tak dorywczo ukutego w angielskim.

SPRAWA SPITZBERGU



Znaczenie obszarów arktycznych w ewentualnym konflikcie między Zachodem a Wschodem

Stockholm, w lutym 1947 *r.*

Zagadnienie Spitzbergu w chwili obecnej określają trzy względy: istotny, prawny i pozorny.

Pierwszy wynika z położenia tych wysp, zamykających od zachodu wjazd na Płn. Ocean Lodowaty, ściślej: do niezamarzających portów Petsamo, Murmańska i Archangielska oraz na rosyjskie wody północne. Usadowienie się Sowietów na Spitzbergu przesunęłoby obronę ich wybrzeży z linii: Cieśnina Beringa — Ziemia Północna, Ziemia Franciszka Józefa — Nowa Ziemia — Petsamo — Murmańsk, na linię: Cieśnina Beringa — Biegun Północny — Spitzberg — Wyspa Niedźwiedzia (Björnön) Hammerfest.

Hammerfest jest najdalej na północ wysuniętym portem norweskim, odległym około 1.000 klm. od Spitzbergu; nie jest wykluczone, że propozycje sowieckie dotyczyły w ogóle norweskich portów północnych. Ofensywnie biorąc, Spitzberg, a zwłaszcza Wyspa Niedźwiedzia specjalnie nadająca się do założenia lotnisk, zagrażałyby i Grenladii i Islandii, w dalszym zaś rzucie Kanadzie, Stanom Zjednoczonym, Wielkiej Brytanii i samej Norwegii. Cała Skandynawia stałaby się właściwie strategicznie otoczona.

Zmiana art. 9 Konwencji Paryskiej z 9.II.1920 roku, zabraniającego Norwegii zakładania, lub zezwalania innemu mocarstwu na założenie baz — stanowi stronę formalną zagadnienia. Postawienie przez Związek Sowiecki, w oficjalnym komunikacie „*Tass'a*“ z 14 stycznia b.r., absurdalnej zresztą tezy, że konwencja przestała obowiązywać wobec tego, iż została podpisana również przez b. państwa nieprzyjacielskie — wydaje się być typowym chwytem dyplomacji sowieckiej, obliczonym na wytargowanie czegoś w przyszłości. Tym samym jest określenie w tym komunikacie „Wyspy Niedźwiedziej“, jako „właściwie rosyjskiej“, co w pewnych warunkach mogłoby posłużyć za pretekst do jej obsadzenia.

Ani Wielka Brytania ani Stany Zjednoczone nie zajęły w sprawie baz na Spitzbergu oficjalnego stanowiska, chwilowo ograniczając się do wypowiedzi rzeczników swych urzędów zagranicznych. Sądząc z głosów prasowych, Anglia zastrzega się jedynie przeciw przeprowadzaniu jakichkolwiek zmian w formie dwustronnego układu sowieckiego-norweskiego, żądając porozumienia z wszystkimi sygnatariuszami konwencji, za wyjątkiem b. państw nieprzyjacielskich. Prasa amerykańska natomiast zajęła wyraźnie negatywne stanowisko.

W istocie jednak stanowiska obu mocarstw anglosaskich są całkowicie zbieżne — chodzi im o niedopuszczenie do zainstalowania się Sowietów na Spitzbergu.

Pozorne względy to wysunięta przez komunikat sowiecki sprawa (zresztą pierwszorzędnego) węgla. Wydobycie roczne wynosiło przed wojną około 600 tys. tonn, z czego 2/3 przypadało na kopalnie w koncesji sowieckiej, a więc ilość drobna w stosunku do ogólnego spożycia ZSRR. Szwedzi również mieli koncesję węglową na Spitzbergu od 1917–1934 roku. Mało istotne jest też powoływanie się na „starowierów“, po których kolonii' założonej w XVII wieku, zostały jakieś ruiny. Holendrzy w tym stuleciu również mieli na Spitzbergu wytapialnię tranu.

W czasie wojny, w sierpniu 1941 r. zamieszkali na wyspach Norwedzy i Rosjanie zostali ewakuowani przez flotę sprzymierzonych. W rok potem wróciła część Norwegów dla założenia stacji meterologicznych, a po uwolnieniu Norwegii Północnej jesienią 1944 roku powróciła reszta. Silna ilościowo ekpedycja rosyjska wylądowała na wyspach w listopadzie 1946 roku, przede wszystkim — zgodnie z ówczesnymi depeszami z Moskwy — mając za zadanie uruchomienie kopalni węgla. Zgodnie z telegraficznym zapewnieniem zwierzchnika administracji Spitzbergu z 20.I.47, otrzymanym przez Ministerstwo Handlu w Oslo, jest nieprawdą jakoby Rosjanie zabronili latem ub.r. Norwegom i w ogóle cudzoziemcom odwiedzać Barentsburg w koncesji sowieckiej.

Wiadomość taka ukazała się w jednym z pism angielskich. Jak i pogłoski o rzekomych fortyfikacjach sowieckich, ma ona być bezpodstawna.

Latem wyruszyć ma na Spitzberg specjalna ekspedycja norweska dla dokonania między innymi prac kartograficznych.

Zdaje się, że sfery polityczne w Oslo chcą mimo wszystko stworzyć pewną równowagę pomiędzy amerykańskimi i sowieckimi wpływami na Płn. Oceanie Lodowatym.

Skandynawia wchodzi coraz wyraźniej w sferę konfliktu między wielkimi mocarstwami.

NORDHORN

31 marca 1939

Kulisy gwarancji brytyjskiej dla Polski

30 marca 1939, przed wieczorem, ambasador brytyjski w Warszawie Sir Howard Kennard pełen podniecenia zakomunikował polskiemu ministrowi spraw zagranicznych Beckowi historyczną decyzję rządu Jego Królewskiej Mości : Rząd ten postanowił udzielić Polsce gwarancji brytyjskiej. Jeżeli Polska ją przyjmuje, premier Neville Chamberlain oznajmi ją nazajutrz w Izbie Gmin.

Nie ulega wątpliwości, że Beck był zaskoczony ofertą brytyjską. Zawarcie sojuszu, który by gwarantował Polsce pomoc brytyjską w razie agresji, było od dawna celem polityki polskiej, ale do ostatniej chwili nic nie wskazywało, że rząd brytyjski może się zdecydować na tak zasadniczą zmianę swej polityki zagranicznej. Tradycyjnie W. Brytania unikała tego rodzaju zobowiązań w Europie, a już nigdy mowy nie było o tym, by przyjęła zobowiązania w Europie środkowo-wschodniej.

Toteż odrzucając parę dni wcześniej żądania niemieckie, dotyczące Gdańska i autostrady przez Pomorze, Polska bynajmniej nie liczyła na to, że w razie konfliktu W. Brytania przyjdzie jej z pomocą. Jeszcze na tydzień przed swą decyzją rząd brytyjski proponował jedynie konsultacje między W. Brytanią, Francją, Polską i Rosją na wypadek nowej napaści niemieckiej ; była to w pierwszej chwili jedyna reakcja na zajęcie Pragi przez Hitlera. A sugestie polskie co do zawarcia układu wzajemnej pomocy, czynione w ostatnim tygodniu przed oświadczeniem Neville Chamberlain'a, pozostawały bez odpowiedzi.

I oto nagle rząd brytyjski podejmował krok bez precedensu. Na podstawie oświadczenia premiera w Izbie w dniu 31 marca

„w wypadku jakiejkolwiek akcji, która by zagrażała wyraźnie niepodległości Polski i której rząd polski uważałby za rzecz żywotną przeciwstawić się przy użyciu swych sił narodowych, rząd JKM uważałby się zobowiązany udzielić rządowi polskiemu wszelkiej pomocy, do jakiej jest zdolny".

Opinia świata w pełni zdawała sobie sprawę z tego, czym jest gwarancja tego rodzaju. W parlamencie brytyjskim przywódca opozycji Greenwood odrazu stwierdził, że słowa premiera „mogą okazać się tak doniosłe w następstwach, jak żadne inne oświadczenie w tej Izbie w ciągu ćwierćwiecza". W parę dni później Winston Churchill nazwał je „kamieniem milowym naszej historii". Premier Francji Daladier na posiedzeniu gabinetu stwierdził, iż „Anglicy odtąd są gotowi uważać, że ich granica nie znajduje się już nawet na Renie, lecz na Wiśle".

Więcej jeszcze. W. Brytania nie tylko po raz pierwszy w swej historii przyjmowała tego rodzaju zobowiązania w Europie wschodniej, ale jeszcze oddawała w ręce polskich mężów stanu decyzję o pokoju i wojnie. Tekst gwarancji nie pozostawiał żadnej wątpliwości co do tego, że to Polska będzie decydowała, co stanowi zagrożenie jej niepodległości. W. Brytania była zobowiązana przyjść z pomocą nie tylko w razie bezpośredniej napaści, ale również w razie akcji w Gdańsku. Wówczas zaś było to rzeczą bardzo ważną ; z tego rodzaju agresją pośrednią, z zamachem na Gdańsk liczono się wówczas bardziej, niż z otwartą i jawną agresją na Polskę. Tak więc odtąd Warszawa miała decydować, czy W. Brytania ma obowiązek wejść do wojny.

Co skłoniło rząd brytyjski do tego rodzaju rewolucyjnej zmiany polityki zagranicznej? Dlaczego właśnie Neville Chamberlain, człowiek Monachium i *appeasement'u*, zdobył się na gest, którego nikt po nim nie oczekiwał?

* * *

Motywy historycznej decyzji z 31 marca wydają się dość złożone. Jak zwykle, kilka czynników zbiegło się razem, by spowodować nagły wstrząs.

Przede wszystkim brytyjska opinia publiczna domagała się całkowitej zmiany polityki zagranicznej. Do 15 marca 1939 — do chwili wejścia Niemców do Pragi — naród brytyjski był podzielony ; większość opinii popierała nieszczęsną politykę Monachium. Zanim sam Hitler nie zadał tej polityce śmiertelnego ciosu, deklaracja taka, jak oświadczenie z 31 marca, była nie do pomyślenia, nie tylko jeśli chodzi o Chamberlaina, ale nawet jeśli chodzi o opozycję. Społeczeństwo nie zrozumiałoby jej. Im jednak silniejsze były uprzednie złudzenia, że Monachium zapewniło pokój i że Hitler rzeczywiście traktuje Sudety jako swe ostatnie żądanie i że nie chce zagarniać ziem nie-niemieckich, tym gwałtowniejsza była teraz reakcja na najnowszą zbrodnię Hitlera. O kontynuowaniu polityki *appeasement'u* nie mogło być mowy.

Neville Chamberlain oczywiście nie przedzierzgnął się z dnia na dzień z człowieka pokoju w człowieka wojny. Również i po wejściu Niemców do Pragi nie zwątpił w możliwość utrzymania pokoju. Bynajmniej ! Natomiast doszedł do wniosku, że należy — i można — ratować pokój innymi sposobami. Skoro nie zapewniły go ustępstwa, może zapewni go stanowczość ? W roku 1914 wojna stała się nieunikniona dlatego, ponieważ do ostatniej chwili stanowisko W. Brytanii było niepewne ; gdyby Niemcy Wilhelma II wiedziały, że W. Brytania nie pozostanie neutralna, nie zaryzykowałyby konfliktu. Trzeba więc upewnić się, że Hitler nie będzie miał żadnej wątpliwości co do stanowiska W. Brytanii w wypadku nowej napaści, a nie zaryzykuje wojny, która by była powszechna.

Neville Chamberlain nie odrazu doszedł do tego wniosku. Jeszcze nazajutrz po zajęciu Pragi próbował upierać się przy dotychczasowej polityce. W dwa dni po tym wydarzeniu, a na dwa tygodnie przed udzieleniem gwarancji, Chamberlain wygłosił mowę w Birmingham, w której oświadczył :

„Nie zamierzam przyjąć w imieniu tego kraju nowych nieokreślonych zobowiązań na okoliczności, które nie dają się przewidzieć".

Oświadczenie to zdawało się wykluczać właśnie takie nowe zobowiązanie, jakim była gwarancja dla Polski. Jednakże opinia publiczna żądała zdecydowanej zmiany. Parlament kipiał. Rząd zmuszony był działać.

* * *

Do tego doszły nagłe alarmy wojenne w ostatnich dniach marca. W tydzień po wkroczeniu wojsk niemieckich do Pragi nastąpiło zajęcie Kłajpedy ; niemiecka machina wojskowa była puszczona w ruch i na tym tle wszelkie pogłoski o planowanych nowych posunięciach wydawały się prawdopodobne. W szczególności rozeszły się pogłoski, że Niemcy zamierzają natychmiast, bez żadnej zwłoki, przystąpić do „załatwienia" sprawy Gdańska. W związku z okupacją Kłajpedy flota niemiecka demonstrowała na Bałtyku, można było sobie wyobrazić, że nagle zawita do Gdańska. Z pogranicza polsko-niemieckiego były sygnalizowane ruchy wojsk.

Wszystko to razem sprawiło, że gdy w ostatnich dniach marca do Londynu nadeszły wiadomości, zapowiadające nagły atak niemiecki na Polskę, prasa i parlament potraktowały je bardzo serio. Przyczyniły się one niewątpliwie walnie do decyzji udzielenia Polsce gwarancji — celem nastraszenia Hitlera. Oświadczenie Chamberlaina z 31 marca wprost nawiązywało do tych pogłosek.

Pogłoski te były jednak nieprawdziwe. Co najwyżej istnieje możliwość, że hitlerowski Gauleiter Gdańska, osławiony Förster, planował na własną rękę dokonanie puczu w Wolnym Mieście ; miał on wedle pierwotnych zamiarów nastąpić 29 marca, ale został zawczasu odwołany. W każdym razie o napaści na Polskę nie było jeszcze w tym czasie mowy. Nawet decyzja wojowania z Polską jeszcze ostatecznie nie zapadła, nie mówiąc o wyznaczeniu formalnego terminu.

Z dokumentów ogłoszonych w Norymberdze wiemy dziś dokładnie, jak w tym czasie rozwijały się plany niemieckie.

25 marca gen. Keitel odbył konferencję z Hitlerem, po której notował to, co mu powiedział Führer :

„L. (ambasador Lipski) powraca z Warszawy 26 marca. Proszono go o wybadanie, czy Polska gotowa jest dojść do porozumienia z Niemcami na temat Gdańska. Führer opuścił Berlin w nocy 25 marca, ponieważ nie chce być obecny, gdy L. wróci. Ribbentrop ma z początku prowadzić rokowania. Führer nie chce jednak rozwiązywać problemu Gdańska siłą. Nie chciałby on w ten sposób wpędzać Polski w ramiona W. Brytanii.

„...Chwilowo Führer nie zamierza rozwiązywać sprawy polskiej. Niemniej jednak trzeba obecnie pracować nad nią. Rozwiązanie w bliskiej przyszłości musiałoby się opierać na szczególnie korzystnych okolicznościach. W tym wypadku Polska zostanie rozgromiona tak gruntownie, że nie będzie trzeba brać jej w rachubę jako czynnika politycznego na przeciąg kilku dziesiątków lat. Führer ma na myśli linię graniczną od wschodniej granicy Prus Wschodnich do wschodniego cypla Górnego Śląska. Ewakuacja i przesiedlenie są sprawami nadal otwartymi. Führer nie pragnie iść na Ukrainę. Być może istnieje możliwość stworzenia państwa ukraińskiego. Ale te kwestie również pozostają otwarte".

Trudno jest powiedzieć, co wówczas Hitler naprawdę myślał. Z jednej strony wypierał się zamiaru agresji, z drugiej — snuł już wtedy plany podziału Polski, które wprowadził w życie w tajnym układzie z Sowietami z 23 sierpnia; istotnie pierwotny podział nastąpił niemal dokładnie wedle linii od wschodniej granicy Prus Wschodnich do Górnego Śląska. W każdym razie nie było jeszcze mowy o akcji zbrojnej.

26 marca odbyła się rozmowa amb. Lipskiego z Ribbentropem, po której w Berlinie musiały prysnąć złudzenia na temat pokojowego załatwienia sprawy Gdańska. Odtąd Hitler wiedział, że zajęcie Gdańska to wojna z Polską. W pięć dni później, na podstawie deklaracji Chamberlaina, zarysowała się groźba, że byłaby to zarazem wojna z W. Brytanią i Francją. Z tą chwilą też niemieckie czynniki wojskowe przystępują do przygotowania kampanii z Polską.

Pierwsze dyrektywy zostały, jak się zdaje, wydane 3 kwietnia 1939. Podpisane przez Keitel'a głoszą one m.in. :

„Przygotowania muszą być prowadzone w taki sposób, by operacja (przeciw Polsce) mogła być podjęta każdej chwili, począwszy od 1 września 1939".

Tak więc już wówczas ustalony był termin, który miał okazać się terminem ostatecznym...

Fakty te pozwalają stwierdzić, że marcowe alarmy wojenne były fałszywe. Gwarancja zrodzona na tle paniki, udzielona pośpiesznie i bez wszechstronnego przemyślenia, w znacznej mierze ze względów wewnętrzno-politycznych, nie mogła sama w sobie gruntownie zmienić sytuacji. A przy tym szereg czynników miał następnie wartość zarówno tej gwarancji, jak i sojuszu, który z czasem zajął miejsce wzajemnych gwarancji, osłabić.

Po prostu było już w tym czasie, w roku 1939, za p źno na zatrzymanie Hitlera samymi tylko groźbami, że W. Brytania będzie walczyła.

ALEKSANDER BREGMAN

Polska pod okupacją : dokoła „amnestii"

DZIWNA AMNESTIA

Ogłoszona przez reżim warszawski „Ustawa o amnestii" (Dziennik Ustaw nr. 20 z dnia 25 lutego br.) jest czymś paradoksalnym, rzadko kiedy spotykanym, a może nawet w prawodastwie naprawdę europejskim nie do pomyślenia.

Samo słowo : amnestia (z greckiego „amnestia" — zapomnienie) oznacza zapomnienie, wymazanie raz na zawsze przeszłości przestępczej danej jednostki i zaprzestanie jakichkolwiek nacisków i ograniczeń jej wolności. Tymczasem amnestia warszawska jest amnestią warunkową i to z zagrożeniem sankcjami. Artykuł 19 mówi :

„W przypadku kiedy osoba skorzysta z amnestii, stosownie do przepisów art. 2, w ciągu dwu lat od czasu wejścia w życie ustawy popełni nowe tego samego rodzaju przestępstwo, to Sąd wymierzając karę nie może orzec kary niższej od p o d w ó j n e g o najmniejszego ustawowego wymiaru kary przewidzianego za dane przestępstwo, nie przekraczając jednak ustawowej granicy danego rodzaju kary".

A więc za skorzystanie z amnestii grozi ewentualnie podwójna kara, a dana wolność jest tylko „tymczasowa". I to nazywa się, że

„demokracja zwyciężając przebacza i rozgrzesza, puszczając w niepamięć nawet najcięższe przewinienia i dając dowody swej wspaniałomyślności (z przemówień sejmowych).

W rzeczywistości reżim pragnie tylko ujawnienia i pokajania się przeciwników oraz ujęcia ich w swe rejestry — na przyszłość.

Dalej cechą charakterystyczną tej amnestii jest mglistość i elastyczność sformułowań, pozostawiająca szerokie pole do różnego rodzaju interpretacji prokuratorów i władz bezpieczeństwa publicznego („Bezpieki"), u których należy się zgłaszać. I tak na przykład artykuł 2 ustawy o amnestii mówi, że

„puszcza się w niepamięć i przebacza przestępstwa : udziału w przestępczym związku lub porozumieniu oraz przestępstwa popełnione w granicach działalności takiego związku lub porozumienia — przez ich członków, uczestników, oraz osoby udzielające im pomocy".

Nigdzie jednak nie precyzuje się, co rozumie się przez „związek przestępczy" i o jakiego rodzaju przestępstwach myśli ustawa. W tych niedomówieniach reżim ma swój cel — daleki od szczerości i chęci stworzenia

„jednakowego startu w życiu publicznym dla wszystkich Polaków..." („Robotnik" 23.2.47).

Gdyby amnestia przyczyniła się do pewnego choćby rozwiązania problemu „lasów" byłoby to jej jedyną chyba zaletą. W chwili bowiem obecnej wszelka walka zbrojna z reżimem jest bezcelowa i pociąga za sobą ofiary, osłabiając siły narodu.

„FASZYZACJA"

Ustawa o amnestii nie stosuje się do szeregu przestępstw m.in. do przestępców

„odpowiedzialnych za klęskę wrześniową i faszyzację życia państwowego",

według dekretu z dnia 22 stycznia 1946. Warto przy tej okazji temu dekretowi poświęcić trochę uwagi, gdyż, zdaje się, nie jest on zbyt dobrze znany na emigracji. Dekret ten stanowi potężny środek w rękach reżimu dla zwalczania jego przeciwników politycznych, a faktycznie każdego niewygodnego jako „faszysty". Albowiem — stosownie do artykułu 1 — skazany może być każdy :

„Kto, idąc na rękę ruchowi faszystowskiemu lub narodowo-socjalistycznemu, publicznie albo w związku z wykonywaniem urzędu lub zleconych czynności w zakresie zarządu państwowego albo reprezentując Państwo Polskie w stosunkach z rządem obcego państwa lub jego urzędnikami działał na szkodę Narodu lub Państwa Polskiego — przez umniejszanie lub osłabianie siły zbrojnej polskiej lub sprzymierzonej albo przez osłabianie ducha obronnego społeczeństwa — podlega karze więzienia..."

A więc jakiekolwiek przemówienie wygłoszone publicznie przed dniem 1 września 1939 roku, nawet przez osobę niepełniącą żadnej funkcji państwowej, może być uważane za karalne, o ile reżim przypisze mu „osłabienie ducha obronnego społeczeństwa".

Również szerokiej interpretacji pozostawione jest słowo — faszyzacja. Jak wiadomo „faszystami" są nie tylko Prezydent Raczkiewicz i premier Arciszewski, ale także Churchill, Papież — a ostatnio prezydent Truman.

Na tym nie koniec, dekret o „faszyzacji" przewiduje kary nawet dla tego :

„Kto — według artykułu 4 — *rozpowszechniał albo rozporządzał, przechowywał lub przewoził w celu rozpowszechniania pisma, druki lub wizerunki, nawołujące do popełnienia przestępstw, przewidzianych w artykule* 1 — powyżej przez nas cytowanym — *lub też zawierające pochwałę tych przestępstw, podlega karze więzienia..."*

Tak więc posiadanie przez fryzjera w swym zakładzie przed wojną gazet „faszystowskich" dla czekających klientów — jest przestępstwem...

DO EMIGRACJI

Na wstępie amnestii mówi się, że udziela się jej

„sprawcom i uczestnikom przestępstw popełnionych w kraju lub z a g r a n i c ą przed dniem 5 lutego 1947 roku".

Również prasa reżimowa pisze ciągle i podkreśla, że amnestia w dużej mierze odnosi się do emigracji.

„Ramami amnestii — pisze „Życie Warszawy" — *zostają objęci również ci obywatele, którzy poza granicami przebywali. Chodzi o setki tysięcy liczącą t.zw. emigrację wojskową i o osoby cywilne, pozostające na terenie Kontynentu we wszelkiego rodzaju obozach i skupiskach. Żołnierze przestali wierzyć głupim i naiwnym bajkom. Chcą wracać. Muszą jednak pokonywać ogromne trudności. Amnestia jest dla tych wielu tysięcy szczęśliwą sposobnością do przełamania dotychczasowych oporów..."*

Ani ustawa o amnestii ani prasa reżimowa nie precyzuje jednak, jakie to „przestępstwa" popełniło „wiele tysięcy żołnierzy na emigracji". Czyż przestępstwem było, iż walczyli oni o wolność Polski już wtedy, kiedy komuniści byli jeszcze w sojuszu z hitlerowcami? Czy może przestępstwem jest fakt koleżeństwa broni z żołnierzami brytyjskimi i amerykańskimi pod Monte Cassino lub Falaise? A może dochowanie wierności przysiędze żołnierskiej?

Nawet zapisanie się do PKPR, które mogłoby być uważane za wstąpienie do obcego wojska, nie jest przestępstwem z punktu widzenia polskiego kodeksu karnego.

Tak więc te wszystkie przymówienia pod adresem emigracji i niesprecyzowane sugestie łączone rozmyślnie z amnestią mają jedynie na celu doraźne interesy reżimu. Chce on utrzymać stan niepewności tych, którzy wahają się z powrotem lub zachwiać tych, którzy decydują się na czasowe pozostanie na emigracji, a przez to rozbić emigrację w ogóle. Również przez stwarzanie pozorów normalizacji stosunków i wielkoduszności, chce on utrudnić nasze tu pozostawanie.

Reżimowi zależy jedynie, by emigracja walcząca o niepodległość Polski jak najszybciej znalazła się pod jego „opieką", stąd też artykuł 2,§2 nakazuje, że każdy, kto skorzysta z amnestii musi :

„...w terminie przez przedstawicielstwo Państwa Polskiego za granicą zakreślonym powrócić do kraju i w ciągu miesiąca od daty powrotu złożyć władzy bezpieczeństwa publicznego dowód zgłoszenia się do przedstawicielstwa".

A więc oddanie się pod „opiekę" „Bezpieki".

WIDOKI REŻIMU

Rozbiór treści ustawy o amnestii, przemówienia ludzi reżimu oraz sposób wykonywania jej świadczą dobitnie, jakie cele miał reżim warszawski.

Z jednej strony — wobec zagranicy — chodziło mu o zatarcie wrażenia, jakie zrobił terror przedwyborczy i fałszerstwa wyborcze oraz o wywołanie złudzenia stabilizacji stosunków i siły reżimu wśród społeczeństwa.

Z drugiej strony — wobec Polaków — reżim chce przez amnestię wywołać nowe złudne nadzieje w rodzaju : „a może jednak teraz będzie można spokojnie i bezpiecznie żyć" oraz skłonić opozycję do ujawnienia się, by ją rozbić i zniweczyć, jak to miało miejsce z PSL.

Nie jest to pierwsza amnestia reżimu warszawskiego. Była już jedna w sierpniu 1945. Wielu, którzy z niej skorzystali, ujawniając się — zwłaszcza z Armii Krajowej — przypłaciło to potem utratą wolności, o ile nie życia. Nic nie wskazuje na to, by obecnie było lepiej z wykonaniem tej amnestii, która jest w rękach „Bezpieki". Polska jest państwem policyjnym, w którym nikt nie ma pewności bezpieczeństwa osobistego, ale zdany jest na wszechwładzę władz bezpieczeństwa.

Nikogo na emigracji nie potrzeba namawiać do powrotu lub pozostania. Każdy wie, co go tu czeka. Każdy też zna swoje obowiązki. Jeśli ktoś ma zaufanie do obietnic dawanych przez reżim pochodzący z łaski Rosji i sfałszowanych wyborów i przekonany jest, że reżim ten dotrzymuje słowa, ten niech szybko wraca, ale... po przeczytaniu ustawy o amnestii w pełnym brzmieniu.

TADEUSZ NALER

Po zjeździe Koła A.K.

Sala „Białego Orła" widziała już wiele zjazdów, była świadkiem wielu wypowiedzi i dyskusji, ale tym razem gościła w swych ścianach zespół ludzi, który znacznie odbiegał od normalnego emigracyjnego szablonu. Wśród zebranych przewijały się szlify generalskie i siwe głowy starych działaczy niepodległościowych i szare mundury żołnierskie i wyświechtane ubranka najrozmaitszego kalibru cywilów i pucołowate twarze dziewczyn i chłopców, którzy dobrze już znają zapach prochu i emocję wojennego ryzyka, ale którym daleko jeszcze do pełnoletności.

Wydawać by się mogło, że atmosfera Zjazdu będzie sztywna i wymuszona, że różnice społeczne i pokoleniowe, zarysowane tak wyraźnie wśród zebranych, przekreślą możność swobodnej wypowiedzi i szczerej dyskusji.

I oto starzy rutyniarze zjazdowi zdumieli się i nadstawili uszu, gdy w pierwszych słowach sprawozdań i dyskusji z młodych ust padło pod adresem seniorów słowo : „kolega" i bez przeszarżowania i sztuczności utrzymało się do ostatniej chwili, wprowadzając nastrój przyjaźni, szczerości i zaufania.

Atmosfera była tak przykuwająca i serdeczna, dyskusja tak odważna i bezapelacyjna a jednocześnie pozbawiona zaczepności i uraz osobistych, że przez pełne dwa dni, do późnej nocy, sala nie mogła pomieścić Delegatów i Kolegów-Gości, nie chcących stracić niczego z rzucanych wypowiedzi.

Zjazd wykazał dobitnie, że grupa AKowców, przebywająca poza granicami Kraju, wie dobrze, czego chce i zdaje sobie doskonale sprawę z przyczyn ideologicznych, które spowodowały decyzję pozostania na emigracji. W drugim dniu Zjazdu, na plenum, uchwalono obszerną deklarację ideowo programową. Podkreślono w niej między innymi : konieczność oparcia się na deklaracji Rady Jedności Narodowej z dn. 15 marca 1944 roku, która określiła postępowy i sprawiedliwy charakter ustroju społecznego i gospodarczego przyszłej Polski ; nierozerwalność Ziem Wschodnich Rzeczypospolitej z całością Jej terytorium ; konieczność utrzymania odzyskanych ziem na zachodzie z granicą na Odrze i Nissie, wreszcie bezapelacyjne pierwszeństwo zagadnień krajowych i rolę emigracji, która jest sługą Ojczyzny, walczącej i nieustępliwej, ale spętanej i niemej.

W odniesieniu do zagadnień emigracyjnych Zjazd wypowiedział pogląd, że konieczne jest powołanie do życia reprezentacji społeczeństwa wychodźczego, która by posiadła uprawnienia parlamentu, oraz wysunął inicjatywę utworzenia Skarbu Narodowego i opodatkowania na jego rzecz obywateli polskich, przebywających na emigracji.

W sprawach wewnętrzno-organizacyjnych Zjazd postanowił, że należy liczyć jedynie na własne siły, a działalność musi być rozwijana z funduszów zdobywanych drogą składek, płaconych przez wszystkich stosownie do dochodów.

Znamienna rzecz : w Zjeździe uczestniczyli przedstawiciele kontynentu, przybyli ze środowisk zupełnie różnych od siebie, przeważnie upośledzonych i biednych, a przecież nie było momentu, w którym by padły zdania kwestionujące wyraźną, prostą linię ideologiczną z niedalekiej przeszłości. Postawa czynna, niewygasły entuzjazm, gotowość do ofiar, walka — choć zmienionymi metodami — o pełną niezależność Narodu, zwartość wewnętrzna i jak najserdeczniejsza współpraca ze wszystkimi organizacjami, stojącymi na gruncie niepodległości, oto w krótkich słowach przekrój nastrojów byłych żołnierzy AK, które uzewnętrznił Zjazd.

Jeszcze raz, w formie niezwykle dobitnej, okazało się, że Armia Krajowa była nie tylko narzędziem walki, ale także potężnym ruchem społecznym, który przeorał zapatrywania mas polskich, uaktywnił je, dał im odwagę działania i wypowiedzi i pchnął na drogę poglądów postępowych, malujących wizję przyszłej Polski — sprawiedliwej dla wszystkich i darzącej opieką każdego obywatela.

Z tym dorobkiem, wzmocnionym jak najlepszą wolą służenia Sprawie i wiarą w przyszłość wkraczają żołnierze Polski Podziemnej — w życie emigracji.

JÓZEF GARLIŃSKI

O przyszły szpital polski

Na skutek likwidacji szpitala im. Paderewskiego w Edynburgu, znika z widowni jedyny szpital dla cywilnych Polaków, jaki dotychczas na tutejszym terenie pracował. Szpital ten jedzie do Polski.

Nikt nie ośmieliłby się przeciwko tej decyzji protestować, gdyby nie fakt, że budynek szpitalny, łóżka, pościel, personel pomocniczy — wszystko to dostarczone było przez Szkotów. I gdyby nie fakt, że w skrzyniach przygotowanych do wyjazdu do Polski leży ekwipunek szpitalny bez porównania większy, aniżeli ten, który ma „Paderewski". Skrzynie te, z niewiadomych powodów walają się od dwu lat po składach, marnując 400 łóżek, materacy i pościeli, udaremniając pracę zestawów rentgoenologicznego, dentystycznego i innych, które tam, nierozpakowane i nieużywane spoczywają.

Zwija się przeto placówka, przez którą tylu ludzi przeszło i dzięki której tylu polskich wędrowców i polskich żołnierzy odzyskało zdrowie. Protestując przeciwko tej likwidacji, społeczeństwo polskie w Szkocji zażądało jednocześnie, by zestaw szpitalny dawno czekający na ekspedycję był natychmiast wysłany do kraju. Nie stało się to jeszcze dotychczas.

Ogromna większość lekarzy dawnego szpitala Paderewskiego zostaje. Uważa, że powrót do Polski dzisiaj równałby się przekreśleniu nadziei na niepodległość, równałby się także podporządkowaniu obecnemu reżimowi. W tych warunkach rozumiejąc potrzebę tysięcznych rzeszy polskich w Wielkiej Brytanii, rzeszy składających się dzisiaj z kobiet i dzieci, rodzin żołnierzy, postanowiono za wszelką cenę dążyć do utrzymania placówki szpitalnej.

Władze brytyjskie okazały dla tego projektu duże zrozumienie. I już w tej chwili, jeszcze przed datą zamknięcia szpitala w Edynburgu, są szanse na to, że skrzydło brytyjskiego szpitala w Ayrshire (Szkocja) zostanie oddane do naszej dyspozycji. Warunek stanowi obsadzenie tego skrzydła całkowicie personelem własnym. Pacjenci-Polacy mają korzystać z opieki lekarskiej polskiej. O te dwie grupy ludzi nie trudno. Natomiast jest brak sióstr, pielęgniarek i posługaczek. Bez tego personelu szpital nie ruszy.

Polskie władze opiekuńcze, przeprowadzające rozmowy ze szkockimi przedstawicielami służby zdrowia, podjęły się już wypełnienia tego warunku samowystarczalności. Ze wszech miar zresztą jest to pożądane, jako że w szpitalu czysto polskim każdy czuć się będzie lepiej i swobodniej, aniżeli w mieszanym. Przy tym brak rąk do pracy wśród Brytyjczyków wyklucza jakąkolwiek pomoc. Obok szpitala istnieje szkoła pielęgniarek udostępniona wszystkim siostrom polskim, które w skrzydle polskim będą pracować. Ukończenie tej szkoły daje perspektywy niezależności materialnej na przyszłość.

Od zgłoszeń kobiet polskich na objęcie posad sióstr, pielęgniarek i sprzątaczek zależy więc uruchomienie szpitala. Pisać należy do p. W. Dobrzańskiej, 13, Glencairn Crescent, Edinburgh. I to pisać zaraz. Inaczej plany szpitala własnego zostaną tylko planami.

ZYGMUNT NAGÓRSKI, jr.

Z nowych książek

„Rzucane na biały arkusz mapy świetlne punkciki zbliżały się ku sobie wolnym, ciągłym posuwem. Admirał raz jeszcze rozwarciem cyrkla porównał ich odległość i odłożył na ramce mapy. Za trzy godziny jego własna i nieprzyjacielska floty znajdą się we wzajemnym zasięgu szesnastocalowych dział..."

„Czerń zamieniła się w purpurę. I na tle tej płonącej czerwieni widać było tylko jedną rzecz: rwące ku górze jasno-pomarańczowe smugi. Tak kończył swe życie niemiecki okręt admiralski, a wraz z nim trzystu ludzi..."

Oto dwa wyjątki z książki J. Bartosika: „Wierny okręt"*), książki o której bez żadnej przesady powiedzieć można, że jest najciekawszą i najlepszą książką, jaką kiedykolwiek Polak o prawdziwym morzu i prawdziwych okrętach napisał. Książką pozbawioną patosu, a właśnie chwytającą za serce. Książką napisaną prosto i bezpretensjonalnie, może z pewnymi usterkami w stylu czy formie, ale tak plastycznie, że czytając ją widzi się jak na dłoni to, co autor opisuje. Świetne ilustracje Horowicza dodają jeszcze owej plastyki, tak że całość przesuwa się przed wyobraźnią czytelnika, jak wstęga kinematografu.

Kilku wybitnych autorów pisało na obczyźnie o morzu i okrętach. Jeden z nich był nawet w marynarce handlowej, ale niepotrzebnie dolewał do swoich świetnych opowiadań sosu radykalnej demagogii [może mu to z wiekiem przejdzie, bo szkoda byłoby talentu]. Inni, albo nie byli marynarzami i na wojnę morską patrzyli z boku, oczyma widza, albo nie potrafili rozwinąć swej myśli w drukowane słowo i nadać jej formy plastycznej, w której Bartosik celuje. Tak czy inaczej, mamy nareszcie dobrą książkę o prawdziwych walkach polskiej marynarki wojennej.

Autor nie patrzył na morze z boku. Był oficerem artylerii na polskich kontrtorpedowcach. Pływał, walczył, był ranny, przeszedł wszystkie kampanie, od krańców Śródziemnomorza poprzez Atlantyk aż po daleki Archangielsk. To, co nam opowiada, to nie fantazja, ale prawda. A poza tym z każdego słowa przebija iście conradowska miłość do swego okrętu i do ludzi na nim walczących.

Nie brak Bartosikowi też zmysłu humoru. Historia o tym, jak grupa oficerów polskich przybyła wieczorem (na obiad) na niewłaściwy okręt brytyjski, wzbudzi napewno sporo śmiechu. A momenty tragiczne nie są nacechowane tak właściwą Polakom nutą ponurej beznadziejności. Książkę czyta się lekko, choć jest poważna. I zostaje po niej nie posmak smutku czy chęć krytyki, ale jakaś dziwna i krzepiąca nadzieja na lepszą przyszłość. Przecież ludzie, którzy tyle dokonali, nie ugną się przed losem, nie załamią w obliczu niepowodzenia. Przeciwnie — walczyć będą dalej, jak ten, opisany w książce, brytyjski komandor, co mając powierzony sobie kulawy konwój, wdał się w walkę z sześcioma krążownikami i kilkoma eskadrami samolotów, choć dysponował tylko jednym starym krążownikiem i czterema małymi eskortowcami. I zwyciężył.

To też w takiej chwili, jak obecna, książka Bartosika jest szczególnie pożyteczna. Wśród otaczających nas chmur smutku i niepewności, przynosi nam tęczowy przebłysk zwycięstwa.

JULIAN GINSBERT

*) *Józef Bartosik: „Wierny okręt". Orbis — London* 1947.

BIURO INFORMACJI I PORAD

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, chcąc ułatwić swym członkom znalezienie odpowiedzi na szereg pytań, związanych ze stawianiem pierwszych kroków w życiu cywilnym za granicą, uruchomiło Biuro Informacji i Porad. Dzieli się ono na działy: Informacji Ogólnej, Prawny i Poradnictwa Zawodowego. Biuro udzielać będzie informacji w bardzo szerokim zakresie. Objęte więc będą zagadnienia rodzin (pomocy i poszukiwania), szkoleniowe, formalności demobilizacyjne, sprawy podatkowe, uzyskiwanie dokumentów zastępczych i tłumaczenia, statut prawny uchodźców, kwestie wizowe, zatrudnienie w W. Brytanii, własne przedsiębiorstwa, sprawy emigracyjne, zakup narzędzi, ocena kwalifikacji zawodowych.

Informacje udzielane są bezpłatnie, natomiast załatwianie niektórych spraw może pociągnąć za sobą dodatkowe koszty (adwokat brytyjski, poświadczenia dokumentów, zakup książek i tp.). Biuro będzie musiało uzyskiwać ich zwrot, po uprzednim porozumieniu się z interesantem. Personel Biura od dłuższego czasu przygotowywał się do podjęcia pracy, kompletując materiały i nawiązując potrzebne kontakty. Można się więc spodziewać, że ta nowa placówka przyniesie istotną pomoc licznym rzeszom zainteresowanych.

Adres Biura Informacji i Porad SPK w Londynie: 18, *Queen's Gate Terrace, London S.W.7. Tel.: WEStern* 9175. *Najbliższa stacja kolejki metra: Gloucester Road Station.*

Dla wygody członków Stowarzyszenia, znajdujących się w Szkocji, Biuro posiada Oddział w Edinburgh'u: 13, *Glencairn Crescent. Tel.:* 64090.

15-LECIE PASTERSKIE J. E. KS. ARCYBISKUPA SAWY

12 b.m. przypada 15-lecie święceń biskupich J. E. ks. arcybiskupa Sawy, prawosławnego pasterza wojskowego P.S.Z.

W hierarchii polskiej autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej J. E. ks. Sawa jest ordynariuszem diecezji wileńsko-nowogródzkiej. Opowiedziawszy się za legalnym Rządem Rzeczypospolitej, od początku wojny przebywa poza krajem. Obowiązki pasterskie w P.S.Z. piastuje od kilku lat. Od niedawna otrzymał godność arcybiskupią.

Szczególnie bliskie węzły łączą J. E. ks. arcybiskupa Sawę z Kościołem Anglikańskim oraz z autokefaliczną Cerkwią Serbską, w której łonie odbywał studia teologiczne i otrzymał święcenia.

Redakcja „Polski Walczącej" łączy się w tym dniu z życzeniami dla Najdostojniejszego Hierarchy.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Jędrzej Giertych: Polityka polska w dziejach Europy. Nakł. aut. Str. 453, cena 18s.

C. E. Eckersley and M. Corbridge-Patkaniowska: Essential English for Polish students — an introductory course. Wyd. Longmans, Green & Co. Str. 100, cena 2s.

Hans Lund, Holger Begtrup i Peter Manniche: Duńskie Uniwersytety Ludowe a rozwój społeczności wiejskiej. Wyd. Polska Y.M.C.A. str. 134.

Józef Chałasiński: Młode pokolenie chłopów. Wyd. Polsk Y.M.C.A. Str. 201.

POSZUKIWANIA RODZIN

Henryk CZERWENAK, ostatnie adresy: Biberach Würtemberg, Strassbourg — France, poszukiwany przez matkę, Wiktorię Czerwenak — Przemyśl, Winna Góra 3.

Bronisław SĘCZKOWSKI, nauczyciel z Wileńszczyzny, wywieziony na Syberię w r. 1940, *ostatni adres: Archangielsk A.*226/4, *poszukiwany przez żonę, Wandę Sęczkowską — Potrzasków, poczta Grabów Łęczycki, woj. Łódź.*

Tadeusz GÓRSKI, administrator dóbr Bohdanowicze, wywieziony na Syberię w r. 1939, *poszukiwany przez żonę, Stanisławę Górską — Warszawa, ul. Wileńska* 67 *m.* 5.

Stanisław KULCZYCKI, ur. w Stanisławowie 1910, *b. pracownik Pol. Państw. i Bolesław Kulczycki, ur.* 1908, *synowie Kornela i Anny, poszukiwani przez siostrę, Władysławę Warnicką — Gliwice, ul. Witkiewicza* 23, *woj. Katowice.*

Witold, Zofia, Danuta i Jarek SZULC z Ilii, pow. Wilejka, wywiezieni na Syberię, poszukiwani przez Helenę Popławską — 8040 *Olympia, Detroit* 13, *Mich. USA.*

J zy KONCZYKOWSKI z Powstania Warszawskiego poszukiwany przez Gustawa Radwańskiego — 37, *Clarendon Drive, London, S.W.*15.

Kazimierz BEREZOWSKI, syn Antoniego, proszony o podanie adresu przez Helenę Popławską — 8040 *Olympia, Detroit* 13, *Mich. USA.*

Adres poszukiwanego Bolesława BARANOWSKIEGO, brata Franciszka, jest: 11176 *Smiths Creek Rd., Memphis, Mich. USA.*

Najbliższy (15) numer „Polski Walczącej" ukaże się dn. 19 b.m. w objętości 6 stronic druku.

SPISY RZECZY

NA PACZCE OD MYDŁA...



Obywatelki i Obywatele! Zgniła emigracjo i szczera demokracjo! Przyjaciele i wrogowie ludu! Faszyści i czerwonoskórcy!

Moją trybunę przemontował mi ostatnio znajomy stolarz polski, były major z Rubensa, obecnie na praktyce rzemieślniczej. Trybuna moja będzie miała możliwości poruszania się po wodzie w kształcie gondoli i po lodzie w kształcie ślizgowca, a to wszystko ze względu na kapryśne zmiany klimatu angielskiego.

Dzisiaj przemawiam do was z gondoli, jako że woda wtargnęła do Hyde Parku. Jestem przygotowany na wszelkie ewentualności. Kupiłem ostatnio okazyjnie kilka mocnych sznurów od pewnego byłego adiutanta, żeby zabezpieczyć się przed porwaniem siłą wiatru, gdyż podobne wypadki również ostatnio notowano w Anglii kilkakrotnie.

Wy też, moi mili demokraci, powinniście poczynić w waszych myślach takie porządki wiosenne, które zabezpieczyłyby was z każdej strony. Mój kolega orator, właściciel sąsiadującej ze mną trybunki powiada, że Anglia ze zmartwienia zalała się — tym razem wodą.

Opady atmosferyczne waliły się na biedną wyspę w następującej kolejności: opad uczuć dla rządu, opad prestiżu Shinwella, wiatr palestyński, błyskawica trumanowska, grom mołotowski, grad indyjski, burza grecka, ulewa turecka i t.p.

Wyspa przetrzymała, bo umie się urządzić. A wy, moi mili demokraci, czym innym jesteście — jeżeli nie wyspą? Tak jest! Skupieni dookoła tej paczki od mydła, powiadam wam, jesteście wyspą wolnej myśli polskiej, wyspą oblaną dookoła burzliwymi wodami kanału P.P.R.-skiego...

Jesteście jak wyspa, zdani na własne siły, bo imperium wasze mocno zagrożone. Zabrano wam bogate Indie Małopolskie, kazano wam wycofać się z Jerozolimy Wileńskiej, przepędzono najcenniejszych ludzi waszych z polskich Aten!

Wyspą jesteście wśród przetaczających się u brzegu bałwanów politycznych i dyplomatycznych, którzy chyżo dali się ponieść z wiatrem i popłynęli na fali kariery...

Zalana, zmrożona wyspa w tarapatach: produkcja bohaterów spadła, produkcja legend — zamknęła fabryki, produkcja obietnic wyczerpana; produkcja ciepła narodowego i wzajemnego zrozumienia — pracuje już tylko na jednym, sztucznie podniecanym funtami, piecu.

Co zostało? Produkcja turystów na eksport do ciepłych krain czy produkcja egoistów dla celów luksusowych?

Obliczona na krótką dwuletnią metę produkcja etatowiczów czasu P.K.P.R. nie może być zaliczona do poważnego przemysłu twórczego.

Dlatego wam wbijam do głowy, moi mili demokraci, te porządki wiosenne przy świątecznej Wielkanocnej okazji — żebyście wietrząc mózgi na słonku i wystawiając serca wasze na świeży powiew wiosny 1947 *roku — uparcie pamiętali — żeście wyspą, jak Anglia i musicie mieć się na baczności! Inwazja przeciw wam trwa! Wzmoże się na wiosnę! Macie amnestię i nostalgię. Macie gwarancję i tęsknotę. Macie tu obozy, a tam domy.*

Ciekawa rzecz. Kiedy ostatnio Anglia była w tarapatach zimowych i aprowizacyjnych, wzmógł się na wyspie tutejszej ruch Brytyjczyków w obcych konsulatach. Setki Anglików i Szkotów zdecydowały wyjechać po słońce i jedzenie na stały pobyt do Afryki, Kanady, Australii i Nowej Zelandii. W prasie brytyjskiej i w głosach opinii publicznej potępiano ten ruch, padły słowa: panika i... dezercja!

Bo nie wolno opuszczać wyspy dlatego tylko, że ją zalewa powódź i tylko dlatego, że ją szarpią z wszystkich stron nieprzychylne wiatry.

Zastanówcie się nad sensem tego zdarzenia z ostatnich przeżyć Anglii.

W związku z tym chciałem wam powiedzieć, że choć wielu z was stojących dookoła mojej paczki włożyło cywilne ubranie, to jednak żołnierzami jesteśmy dalej: i wy i ja. Co więcej dopiero zaczęła się największa z bitew świata: b i t w a o p r a w d ę. W mowie Trumana znalazła początek trudna próba naprawy błędów.

Zresztą mundur nie tworzy żołnierza. Wystarczy jeśli wam przypomnę, że stary amerykański wojak generał Marshall na otwarcie konferencji w Moskwie przybył w cywilnym ubraniu, natomiast — i w tym cała pikanteria — cywil towarzysz Wyszyński zjawił się... w paradnym uniformie wojskowym. Podchwycili to spryciarze amerykańscy — podchwyćcie i wy.

Kończąc zwracam się do was z uroczystym zawołaniem Wielkanocnym: „Wyspo Polska, nie daj się porwać wiatrom, nie daj się czerwonej wodzie, która zalewa brzegi, nie daj się bałwanom, którzy rozsadzają ciebie od środka!"

Do usłyszenia za dwa tygodnie, na tej samej paczce, o tej samej porze.

Wasz

OBYWATEL ŻĄDEŁKO

WYDAJE „FIGHTING POLAND" TRUST

Adres Redakcji (Editorial Offices): 52, Halton House, 20-23 Holborn, London, E.C.1. Tel. CHAncery 7747.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: (z przesyłką pocztową) w Wielkiej Brytanii kwartalnie 8 sh., w U.S.A. i Kanadzie miesięcznie 35 c., kwartalnie $1.00 c.

Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na „FIGHTING POLAND TRUST" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — £1 10s., ($5). Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia na pierwszej stronie w miarę wolnego miejsca o 100% drożej. Ogłoszenia drobne: jednokrotne 9d. za słowo, dwukrotne 1 sh. za słowo, trzykrotne 1 sh. 6d. za słowo. Poszukiwanie i zaofiarowanie pracy: jednokrotne 6d., dwukrotne 9d., trzykrotne 1 sh. za słowo.

Poszukiwania osób rodzin wojskowych bezpłatnie w miarę wolnego miejsca.

Adres Administracji (Business Offices): 69, Earls Court Square, London, S.W.5. Tel.: FLAxman 8600.

ANGIELSKI OD ŚWIĘTA

Na święta Wielkiejnocy Dońciu jedzie do swych angielskich przyjaciół w *Southport*. *Southport* — to miasto a nie gatunek wina z południowej Afryki. Wina i inne napoje alkoholowe stanowią jednak główną atrakcję świątecznego zaproszenia.

Dońciu jako Polak i żołnierz najbardziej ceni *whisky* — bo najmocniejsza. Anglicy piją ją zwykle rozcieńczoną — wodą zwykłą lub sodową („*whisky and soda*"), ale Dońciu twierdzi, że to psucie trunku, na co pan domu z łagodnym uśmiechem mówi: „*That's what you think*".

Do „krótkich drinków" (*short drinks*) należy też: *port, sherry* i *gin*. *Port* — to wino mocne i słodkie, od którego Dońciu ma ból głowy na drugi dzień, bo zamiast jednego kieliszka po obiedzie pije kilka, przeplatając innymi trunkami. Nazywa je „*porto*", bo tak się nauczył we Francji i krzywiąc się przy siódmym kieliszku, pitym jednym haustem, mówi: „*Mi no lajk sfit drinks*. (Ty mów: *I don't like sweet drinks*).

Szlachetne wino hiszpańskie *Jerez* (jeden kieliszek przed jedzeniem) nazywają w tym kraju — *sherry*, co Dońciu wymawia z francuska: *cherie*; wzamian za to angielscy *crooners* (piosenkarze — piosenkarki) śpewają: „*Zie vous aime, ma s h e r r y*". Wymawiaj *sherry* jak „siery" z akcentem na pierwszą sylabę.

Nie tylko Dońciu, ale wielu naszych rodaków mówi „*sherry brandy*" zamiast „*cherry brandy*" na wiśniówkę. *Cherry* — wiśnia. *Cherry pipe* — wiśniowa fajka. *Cherry blossom* — kwiat wiśni. Samo *brandy* — to po prostu — koniak.

Gin pije się zwykle z sokiem owocowym: *gin and lemon* (cytryna), *gin and orange* (pomarańcza), *gin and lime* (jak cytryna tylko bardziej ostre). Słowo „*gin*" (wymawiaj: dżyn) nie rymuje ze słowem „*spleen*" (wymawiaj: spliin), podobnie jak nie ma rymu w polsko-angielskim wierszu, który Dońciu napisał kiedyś w natchnieniu:

Daj mi twych słodkich ust,
Trust in me, darling, trust!

bo *trust* wymawia się: trast. Znaczy: ufać, ale „*brains trust*" nie znaczy: ufaj mózgom, tylko jak gdyby: rada mózgów.

Ale — do trunków. *Ale* — to właśnie gatunek piwa — *pale ale* (wymawiaj: pejl ejl) — jasne piwo. Piwo w ogóle — *beer* (wymawiaj: bi-er). Pite w Anglii przed jedzeniem, podczas jedzenia, po jedzeniu i bez jedzenia.

Co mówimy, wznosząc kieliszek w górę przed wypiciem (bez trącania!)?

Najczęściej: *Cheerio*! (Dońciu wymawia: Czyryło!) *Cheerio!* — mówi się też na pożegnanie.

Żartobliwe powiedzonka wśród przyjaciół:
„*Skin off your nose*" (skóra z twego nosa).
Odpowiedź: „*And off yours*" (i z twego).
„*Mud in your eye*" (błoto ci w oko).
Odpowiedź: „*And in yours*".
My best Easter greetings (Wielkanocne życzenia) *to you all!*

RAD

DOM WYPOCZYNKOWY YMCA

Dom Wypoczynkowy Polskiej YMCA został ostatnio przeniesiony do Blairhill House, w miejscowości Rumbling Bridge, koło Kinross. Adres pocztowy: Polish YMCA Convalescent Home, Blairhill House, Rumbling Bridge, near Kinross. Telefon: Muckhart 31.

Dom jest wyposażony w radio, gry świetlicowe, kino, bibliotekę, kort tenisowy, boisko siatkówki oraz autobus, który dowozi pensjonariuszy do pobliskiego miasteczka.

Dom może pomieścić 62 osoby. Pensjonariusze opłacają dziennie: strzelcy — 1 sh., st. strzelcy — 1/3, kaprale — 1/6, plutonowi — 2/–, sierżanci — 2/6, st. sierżanci — 3/–, chorążowie — 4/–.

Każdy przyjeżdżający musi posiadać kartę zaopatrzenia. Żołnierze bez kart zaopatrzenia dopłacają 3 sh. 4d. dziennie.

Printed for „Polska Walcząca" by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House, Worship Street, London, E.C.2. Registered at the G.P.O. as a Newspaper.